Nr. 16. Kraków, 15 Sierpnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

NOWA USTAWA MONETARNA.

W ostatnich dniach ogłosiły dzienniki sankcyę cesarską ustaw co do zaprowadzenia kruszczowej monety złotej w Austro-Węgrzech. Jako laik zastanawiałem się nad tem, jakie też mogą mieć cele rządy obu połów monarchji Austro-węgierskiej w tak forsownem przeprowadzeniu ustaw przez 4 konstytuanty, i doszedłem do przekonania, że celem tym nie jest ani polepszenie bytu materyalnego mieszkańców, ani obniżenie podatków najróżnorodniejszych kategoryj, dalej nie spreżystszy a dotąd nieodpowiedni wymiar sprawiedliwości, nie przyspieszenie załatwienia spraw skarbowych, zalegających dekadami u władz niższych, średnich i wyższych, nie budowa nowych linij kolejowych i wreszcie nie powiększenie żandarmeryi dla zapewnienia lepszego porządku i bezpieczeństwa osób i mienia — lecz że celem jedynym wyłącznym i silnie zamarkowanym jest znalezienie nowych źródeł dla rozwoju militaryzmu, pochłaniającego i tak dochody państwa, z krzywdą innych gałęzi administracyi.

Kierownicy rządu: — panowie ministrowie głównie wojny i obrony krajowej nie uważaja za stosowne żądać świeżych ustępstw ze strony reprezentantów wiernych ludów, lecz sądzą, iż zbyt wysokie procenta w rentach: majowej i październikowej, w rentach, płatnych w zlocie i srebrze, w rencie przezwanej rentą Dunajewskiego itp. nie powinny spływać nadal do kieszeni wielkich kapitalistów lecz, że należy przez redukcyę procentów — a wyrażając się właściwiej — przez konwersyę długów państwa tj. przez zamianę blisko 5 procent przynoszących papierów rządowych — na niższe 3 procent przynoszące renty — zmniejszyć ciężar placenia zbyt wygórowanych procentów a różnicę, wynoszącą około półtora procent czyli okrągło około 40 miljonów rocznie — użyć na cele dalszego rozszerzenia militaryzmu tej „Europy pod bronią.“

Ustawy monetarne łącznie z ustawą co do opodatkowania wielkiego kapitału i gry giełdowej, to nic innego, jak zastosowanie teoryi socyalizmu w praktyce, czyli ujęcie w karby kapitalisty, drwiącego dotychczas z najenergiczniejszej śruby podatkowej. — Otóż taki pan mający np. 200.000 złr. majątku pobierał dotychczas, ukrywając swe mienie przed wszelkiego rodzaju „Steuer-Inspektorami“, rocznie 10.000 złr. — z chwilą zaś gdy renty zostaną skonwertowane będzie się musiał zadowolnić 6.000 złr., z których potrącą mu nadto podatek dochodowy, gdyż o uwidocznienie tego majątku t. j. o przeszkodzenie zatajenia majątku postara się w dalszym ciągu swej działalności ekscelencya Dr. Steinbach. Ustawy monetarne nadadzą także Austro-Węgrom charakter mocarstwa prawdziwie europejskiego pod względem finansowym i kredytowym, a mianowicie przez ustalenie dotychczas ciągle waryującego ażya. Kapitalista zagraniczny przyzwyczajony do marek, franków, funtów i dolarów — chętnie odtąd będzie zakupywać wszelkie waluty austro-węgierskie, bo zawsze jedną i tę samą sumę otrzyma jako procent w zlocie, przy płatności kuponów wszelkich obligów państwa i osób prywatnych.

Kapitalista z Amsterdamu, Londynu, Paryża i Nowego Jorku z ochotą przyjmie w Austryi 3-ci procent rocznie, zamiast pobierać od konsolów angielskich lub tym podobnych obcych długów państwa niespełna 2 procent.

Najdodatniejszą strona ustaw monetarnych będzie niezawodnie obniżenie stopy procentowej we wszystkich instytucyach bankowych. Wszelkie towarzystwa kredytowe ziemskie oparte na bezpieczeństwie t. zw. pupilarnem, nie mniej kasy oszczędności i towarzystwa zaliczkowe, mające swe fundusze w papierach rządowych, będą zmuszone obniżyć znacznie stopę procentową. Kapitał potanieje i wejdzie we wszystkie arterye codziennego życia, wspomoże handel, przemysł i rękodzieła i podniesie wartość nieruchomości (tak ziemi jak i domów). Ustawy monetarne, umożebniając dalszy rozwój militaryzmu, uwolnią jednocześnie Austro-Węgry od panowania sybarytów-kapitalistów, mających duże prawa, a nie ponoszących odpowiednich ciężarów.

L. T.

Na karcie wspomnień.

Witajcie wspomnień promieniste mary!
W srebrnej mgle marzeń przedemną stajecie...
Widzę was wzrokiem miłości i wiary,
Witam was płaczem serdecznym, jak dziecię.

Wszystko, co niegdyś kochałem na świecie,
Co blask słoneczny rzucało w dzień szary,
Wy mi tu znowu na skrzydłach niesiecie —
O! jak mi drogie są te wasze dary!

Zostańcie ze mną! — ach! zostańcie długo,
Aż mi to serce w piersi bić przestanie!...
Świećcie mi wspomnień płomienistą smugą...

Dusza ma idzie wam na powitanie...
I tak was błaga, jak żebrak, żałośnie:
— W szarej jesieni mówcie mi o wiośnie!...

WITELION.

O SŁOWACKIM.

(Uwagi nad „Lillą Wenedą“)

napisał Dr. Henryk Monat.

(Dokończenie).

Najniefortunniej na pozór wypadła postać Św. Gwalberta. Poeta rozmija się z historyą kościoła, która podaje, że historyczny Św. Gwalbert żył nie za czasów Lecha, ale w jedenastym wieku († 1073) i nie gdzieś nad Gopłem, ale we Florencyi i północnych Włoszech. Ale gdybyśmy nawet Świętego zamienili w pustelnika chrześciańskiego, co już nie mogłoby być w sprzeczności z historyą — to zawsze jeszcze pozostanie tyle niejasnych rysów w tym charakterze, że wymaga on większego niż wszystkie inne postacie zastanowienia, aby być zrozumianym w tem znaczeniu, jakie właściwie nadał mu poeta.

W pierwszej zaraz scenie (druga aktu I), w której poeta wprowadził Św. Gwalberta i sługę Ślaza, odmalowaną została ta przesadna wiara w siebie i w pomoc widzialną Boga, która cechuje Św. Gwalberta aż po koniec sztuki. Gwalbert wcale niema skromności ascety a jego sługa, swojem niedowiarstwem i czysto zmysłową naturą, podraźnia go do deklamacyjnych wywodów o proroczej sile jego wiary.

Kiedy Lilla Weneda przychodzi do jego celi o pomoc dla braci i ojca, Święty Gwalbert zatrzymuje ją niezdarnem klasztornodogmatycznem składaniem ślubu czystości! Święty ten nie umie prędko chodzić i zapóźno przychodzi z Lillą do Lechitów, bo chwilę przed nadejściem wyłupiono oczy staremu Derwidowi. Nie możemy wprawdzie wiedzieć, czy wcześniejsze przybycie Lilli Wenedy byłoby zapobiegło katastrofie, ale mamy powód gniewać się na stare nogi Św. Gwalberta. Drugi raz występuje Św. Gwalbert z rozkazu Matki Boskiej, jako idący dopominać się u króla Lecha o Derwida i Lillę. Ale i tu naraża się na sytuacye bardzo uwłaczające stanowisku wysłańca Bożego. Zamiast iść wprost do Lecha, traci odwagę i wysyła Ślaza, stojącego na straży a sam nie poznawszy swego starego sługi, obejmuje jego miejsce. Co gorsza, wobec Lecha, który nań napada, aby wypróbować jego męstwo, zasłaniać się chce kłamstwem, mówi że jest Salmonem i dostaje się do wieży głodowej, z której go tylko prośba Lilli ocala. Nie Święty Gwalbert Lillę, ale Lilla Świętego Gwalberta wybawia od śmierci. Jest to głęboko obmyślany — a wcale nie przypadkowy — szczegół tragedyi. A jak szybko ten Święty, co wyszedł ratować króla Wenedów, godzi się z sytuacyą i w imię krzyża daje Lechowi zwycięstwo! Causa victrix diis placet.

Wreszcie przepowiada Święty Gwalbert, że zjawi się postać Bogarodzicy nad krwią najbardziej Bogu ukochaną, nad najświętszym trupem. A Pan Bóg dotkliwie zaświadczył przeciw Świętemu, bo zjawiła się Bogarodzica, nie nad jakimś ochrzczonym, konającym Wenedem, lub Lechitą, ale nad Polelum, który dopiero co wahał się przyjąć chrzest z ręki Świętego Gwalberta.

Poeta nie miał może zrazu zamiaru przedstawić Świętego Gwalberta w świetle wątpliwej bardzo wartości — włożył mu nawet aureolę promienistą na czoło, której Ślaz i Gwinona dziwią się a która wedle planu z góry powziętego oznaczać miała pewną wyższość wybranych ludzi. Ale w ciągu pisania dramatu, idea Św. Gwalberta i wszystkie jego zamysły upadają, wobec czynnej miłości Lilli Wenedy.

Krytyka, sądząc z tego, jak się na pierwszy rzut oka postać Gwalberta przedstawia, bardzo wiele miałaby jej do zarzucenia. Mnie wydaje się Św. Gwalbert przedstawicielem dogmatycznego pojmowania wiary, człowiekiem, który przyszedł z łacińskim pacierzem do dzikiego, jak sądzi, narodu Wenedów, nieznający ich obyczajów, nie umiejący ich bólów odczuwać, choć sam wyobraźnię ma płomienną i wizye nawet częste miewa. Powtarza on często używane słowa o koronie męczeńskiej, o faraońskie Lecha, z którym wejść chce w zapasy, którego chce złamać i „różdżką ognistą uśmiercić a potem kupić mu jedną łzą gorącą żywot wieczny i zbawienie". Jednakowoż większą on ma siłę wyobraźni, niźli woli a nawet autentyczność jego wizyi ku końcowi dramatu wydawać się zaczyna wątpliwą. Że Matka Boska zjawia się nad stosem Polelum, to niczego nie dowodzi. Jest to widmo w obręczy z płomyków, jak wykrzykuje Lech. W oczach Świętego przybiera to zjawisko świetlne postać Bogarodzicy. Na scenie, gdzie chodzi nam o oddanie wszelkich wrażeń, jakie bohaterowie dramatu odbierają, płomień w rzeczy samej winien utworzyć postać Bogarodzicy, podobnie jak w Hamlecie zjawia się duch ojca, w Makbecie duch Banka i t. d.

Św. Gwalbert jest typem „teoretycznej" moralności i miłości bliźniego, świadomej zawsze celu, nie z serca, ale z nakazu Bożego płynącej. Charakter ten nabywa większej wyrazistości dopiero w przeciwstawieniu do Lilli Wenedy.

Lelum i Polelum w kilku rysach znakomicie skreśleni: Lelum tkliwy, zrezygnowany, Polelum bolejący cierpieniem brata, siostry, całego narodu. Różnic między siostrami: Lillą i Różą wyszukiwać — zbyteczna! Jedna jest skończonym typem kobiety — wyższego żaden poeta nie nakreślił; druga jest uosobieniem ślepej bezwzględnej miłości do kraju, miłości nie wzdrygającej się przed żadnemi ofiarami, dyszącej pragnieniem zemsty, której gotowa poświęcić ojca, siostrę, braci.

Jak w końcu prologu mówi o sobie:

„O wróżka, wróżka ludu nieszczęśliwa,
„Ona ma serce!

tak w ostatniej scenie kilku słowami, zdziera zasłonę, kryjącą ludzkie jej uczucia:

„Już lud wyrżnięto i ustaje burza,
„Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie —
„Teraz dwanaście tych pustych kamieni
„I tak na wieki już i tak na wieki!
„I cóż nie mówisz nic do mnie, Polelum?

Ostatnie zwłaszcza zdanie oświeca, niby błyskawica, straszny jej ból. Wreszcie biedna wróżka wymordowanego narodu czuje potrzebę podzielania z kim swych cierpień. Takie głębie duszy odsłaniać umieją tylko bardzo wielcy poeci.

Na zakończenie pytamy: Jaka jest główna myśl utworu? Cóż znaczy biała postać Lilli? Naród wycięto! Po wygasłych stosach z popiołami poległych, przeszły pługi zapomnienia, stokrocie rozwinęły się na krwawym umarłych stepie, na nic nie zdały się zabiegi Świętego Gwalberta, na nic mściwe zamysły Róży Wenedy. Ani ewanielia zemsty, ani asceza pustelnika nie może ratować upadającego narodu, nie pacierze i włosiennica i posty i nie krwawe w serce wroga godzące przedsięwzięcie, co o własnych zapomina bólach dla cieszenia się bólem obcym! Idee te dobre są w celi anachorety i dobre w walce piekielnych Eumenid!

W pośrodku nich kroczy biała postać Lilli Wenedy, tej chrześcianki przed chrztem, która w czynach spełnia to, czego Gwalbert uczy słowami, która poświęcać się umie, mimo, że nie zna dogmatów, mimo, że nie wie jeszcze dokładnie, czy jeden, czy więcej tam Bogów na świecie. Wszystko płynie u tej dziewiczej bohaterki z miłości dla rodziny. Poświęca ona miłości dla ojca swoje własne szczęście, wyrzeka się ślubu z narzeczonym, znosi pogardę, rzuca się w niebezpieczeństwa, a w chwili, kiedy ojca uwalnia, ułatwia mu wybór między sobą a harfą. Od miłości rodziny wznosi się do miłości ogólniejszej. Skala poświęceń jej tam się kończy, gdzie poczyna myśl Róży Wenedy: na wieki uwięziona w pracy dla Ojczyzny. Mimo woli rodzi się w nas myśl: Gdyby też mniej krwawych ofiar, gdyby mniej deklamacyi o wierze a więcej tej czynnej, świętej miłości ludzkiej, co prosto płynie z serca.

Uczucie, które poecie kazało stworzyć tę postać, jest to samo, które niegdyś podyktowało Jezajaszowi płomienny protest przeciw całopaleniom pobożnisiów i przeciw modlitwom łgarzy w świątyniach Pańskich. Ale wieki muszą minąć, zanim poeta-bluźniercą stanie się kapłanem a kapłan urzędowy spadnie z przywłaszczonych wyżyn.

Lilla Weneda nie stała się jeszcze typem narodowym, jak na to zasługuje! Ta biała, czysta dziewica, najwznioślejsza apoteoza kobiety w literaturze polskiej, polska **Kordelia** i polska **Antygona** cicho i skromnie dopominać się będzie o swoje prawa w sercach naszych.

Sąd wydadzą wieki.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

13) **EMILA ZOLĘ.**

Cały korpus armii nieprzyjacielskiej — ludzie i konie zapadają się pod lód z przeraźliwym trzaskiem, gdy tymczasem Napoleon — bóg, który naturalnie wszystko przewidział, gradem bomb i kul klęskę przyśpieszał... Więc Jena, grób pruskiej potęgi... naprzód strzały tyralierów, wśród mgieł październikowych, niecierpliwość Neya, który o mało wszystkiego nie popsuł, potem wejście w bój marszałka Augereau, który go oswobadza, gwałtowny atak, którego siła łamie środek armii nieprzyjacielskiej, wreszcie panika, ucieczka owej przechwalonej kawaleryi, którą francuscy huzarzy sieką jak owies dojrzały, zasiewając romantyczną dolinę trupami ludzi i koni... Więc Eylau... okropne Eylau, najstraśliwsza i najkrwawsza rzeź ciskająca na kupy ciała okropnie poćwiartowane, Eylau krwią w purpurowy zamieniając całun śnieżny, rozciągnięty na tem ponurem i heroicznem cmentarzysku, Eylau w historyi wojen słynne piorunującą szarżą ośmdziesięciu szwadronów kawaleryi Murata, które na wskroś przeszyły armię nieprzyjaciół, zaścielając ziemię taką warstwą trupów, że aż Napoleon sam zobaczywszy to pole zapłakał...

Więc Friedland, straszna zasadzka, w którą znowu popadły nieprzyjacielskie szeregi, jak banda wróbli nieostrożnych, Friedland arcydzieło strategii Napoleona, który wiedział wszystko i przewidywał wszystko; lewe skrzydło francuskie spokojne, nieruchome, wyczekujące, podczas gdy Ney, zdobywszy miasto, ulice za ulicą, niszczył mosty, potem toż samo lewe skrzydło, całym impetem wpadające na nieprzyjaciela, spychające go w rzekę, gniotące go w tem przejściu bez wyjścia, Friedland, taka straszna praca rzezi, że zabijano do dziesiątej w nocy!... Więc Wagram, gdzie austryacy chcieli odciąć francuzów od Dunaju i wzmacniając ciągle swoje lewe skrzydło, zwrócili się całą siłą przeciw Massenie, który ranny z otwartego powozu wydawał rozkazy... gdy tymczasem Napoleon tytaniczny i zręczny zarazem, wyczekawszy aż ich zuchwalstwo środek swej armii osłabi, ogniem stu armat go roztrącił, odrzucił na milę, a wtedy już prawie zwycięskie owe lewe skrzydło, strachem zdjęte, ustępować zaczęło przed Masseną, którego korpus dokonał pogromu, rwąc wszystko przed sobą z gwałtownością niesłychaną rzeki wezbranej.

I tak dalej i dalej aż do ostatnich błysków austerlickiego słońca i jakąkolwiek stary opowiadał bitwę, zawsze sztandary, rozpuszczone w powietrzu wieczornem, wydawały jeden i ten sam szmer i szelest zwycięzki i chwały pełen i zawsze ten sam okrzyk: Niech żyje Napoleon! rozlegał się o tej godzinie, gdy ognie biwaków zapalały się na zdobytych pozycyach. Francya wszędzie była u siebie, jak wielki zdobywca, orły swe niezwyciężone roznoszący od jednego skraju Europy do drugiego i potrzebujący tylko postawić nogę na ziemi wroga, aby podmuchem swym zmieść jego armie i twierdze obalić!...

Maurycy kończył swój kotlet, upojony mniej winem białem, które się skrzyło w jego szklance, niż wspomnieniami tej wielkiej chwały, śpiewającemi swe hymny w jego pamięci, gdy w tem wzrok jego padł na dwóch żołnierzy, w łachmanach prawie, okrytych błotem, podobnych raczej do zbójów po drogach publicznych się wałęsających. Posłyszał, że biedacy ci wypytywali się służącej o dokładne wiadomości, co do miejsc obozowania pułków, rozłożonych wzdłuż kanału. Zawołał na nich:

POGRZEBY.

Szkic

przez **Zygmunta Niedźwieckiego.**

(Dokończenie).

Trącili jeden drugiego łokciem i równocześnie z nieśmiałości na odwagę wziąwszy, wykrztusili:

— Kiedy nie mamy tyle.

Skarcił ich takim wzrokiem, aż ich ciarki przeszły, jakby mówiąc: cóż to? kpiny? czy co?

— Mamy tylko... siedm szóstek... wszystkiego... — wyznał pokornie Kładka, straciwszy oddech w ciągu czterech słów trzy razy. A Maliński dodał:

— Siedmdziesiąt jeden!... — znalazłszy jeszcze centa w kruszynach chleba na dnie kieszeni.

— Tu targu nie ma! — dobitnie wyrzekł rządca. — Opłata reński dwadzieścia, i koniec. A nie mitrężcie, bo to wstyd, że ciało czeka... Siedm szóstek i cent!... także coś nowego. Na stypę się znajdzie, ale na taksę to nie ma. No dalej, dalej, bez obrazy boskiej!... żebym wam nie powiedział czego...

Poczęli się naradzać skonfundowani, zrozpaczeni, co uczynią, zawstydzeni, że ich biedny zmarły towarzysz czeka tam, za bramą, wykluczony z pomiędzy żywych, niedopuszczony do miejsca pośmiertnego spoczynku... z ich winy.

Nakoniec Kładka zdecydował się prosić z pokłonem:

— Panie szanowny... to myby donieśli resztę przed wieczorem...

— Żadne tam takie! — potrząsając ręką odmownie huknął zarządca. — Co się należy: na rękę! Będę was szukał „przed wieczorem“!... aha!...

Lakiernik wysunął pierś przed siebie i rękę ku niej zbliżył zapewniająco — ale tymczasem rządca, splunąwszy wyraziście, stał już do niego plecyma, ręce w tyle pod połami surduta, rozkraczywszy nogi.

Zostali bezradni.

W tem dziady, przy chrzęście żwiru pod nogami, z szwargotem, który stawał się coraz głośniejszy w miarę zbliżania, poczęły się schodzić z głębi cmentarza, zrzędząc:

— Po czworaku na każde! a to parada!... A obiecywali Bóg wie co, jak psu kości!... I to za takiego bogacza cztery nowe jednemu!... Żeby no choć tysiączne z tego dali, co tylko w jeden dzień nakradł!... Ale to tak: oszukiwał żywy, oszukał i po śmierci!...

Pojedynczo i chórem mówiły to głosy starców i staruszek, co za skromnem wynagrodzeniem ofiarowywali duszyczkom protekcyę swych warg nabożnych. Nareszcie jeden z dziadów począł głuchej babce trąbić podniesionym głosem w ucho, jakie to grzechy ciążą na tym zmarłym, który śmiał im tak lichy przynieść zarobek. Inny, ujrzawszy strapioną minę Malińskiego, prawił szepleniąc:

— Tak to tak, panie: drugiemu to naród kupą za karawanem leci, a drugi, to ledwie tyle, że go, jak tego psa, z przeproszeniem bliska osoba, samego, na cmentarz wywlecze i po krzyku... Ale względem czego to pan taki krzywy?...

Wstyd było lakiernikowi odsłaniać swą troskę. Czekał na Kładkę, który do szynku, naprzeciwko, przybytku chłopskich styp, pobiegł zastawić z siebie kamizelkę. Wygadał się jednak przed dziadem z żałości.

— Patrzcie ludzie! — podjął żebrak — za tego nie ma na pokładne... a tamten se, jeszcze mu się o śmierci ani śniło, z marmuru grobowiec fundował... O sprawiedliwość!...

Wtem przybiegł Kładka zadyszany i jakiś szczuplejszy niż przedtem a szczelnie zapięty, choć guzików nie starczyło.

— No?...

— Wzionem cztery szóstki — szepnął.

— Mało!...

— Ledwiem i to wyżebrał.

— Cóż będzie? Szóstki przez centa brakuje...

Dziadowski cech dowiedział się właśnie o ich strapieniu i zestawiając je z poprzednim pogrzebem, nie skąpił biedakom krzykliwej sympatyi. Nie darują oni tych czworaków!... Jeżeli wszyscy bogacze zechcą dawać takie nędzne jałmużny, czyż warto będzie być dziadem?!..

Dwaj przyjaciele zdobyli jeszcze cztery centy, wyprosiwszy je od swego woźnicy, jedyne, jakie miał w rogu chustki, po trzykrotnem zaklęciu, że oddadzą, na zbawienie. Pozostawało pięć.

— Żeby tak dziady chciały pożyczyć...

— Mów któremu.

— Mów ty.

Ale nie było innego ratunku, więc poszli w prośbę bez zwlekania i uzyskali trzy w ten sposób. Jeden z dziadów ofiarował centa, bo mu się wydawał fałszywym, któraś z bab dorzuciła swego na tę intencyę, że ją coś w dołku gniotło, a strach ją przed śmiercią udręczał, druga zaś, dla pokazania się, sądząc, że tamta, z którą darły koty o miejsce przy furcie, chce ją zaćmić.

Naraz Kładka zastawił się Malińskim tak, aby się za nim ukryć, i po przez ramię lakiernika ukradkiem zerkając na główną ścieżkę, szepnął:

— Stój tak, nie ruszaj się.

Przytem, zaczerwieniony, poprawiał na sobie surdut, jakby się lękał zdradzić, że pod nim brak kamizelki.

Tamten obejrzał się i zrozumiał zaraz, co się dzieje.

— Aha! Zośka — mruknął. Lecz w tejże chwili z nagłem ożywieniem przytknął palcami i łapiąc szewca za ramię, rzekł:

— Ty! a możeby od niej...

Brakowało im dwóch centów.

Szewc się obruszył.

— Ale idź.

— Bójże się biedy! w takim razie!!... — przekładał towarzysz, splatając ręce.

— Nawet mi nie mów!... — oganiał się Kładka.

— Kazek!... zrób to. Przecie to dla Za-

— Hej! koledzy!... chodźcie no tu bliżej!... Ale co widzę!?... Przecież wy jesteście z siódmego korpusu!...

— A jakże!... z pierwszej dywizyi!... Naturalnie, że z siódmego!... bo przecież byłem pod Fröschwiller, gdzie było dyabelnie gorąco... niech dyabli!... A ten oto... mój towarzysz... to on jest z pierwszego... i był pod Wissemburgiem, co jest także miejsce nie ciekawe!...

Opowiadali swoją historyę, jak obaj, choć każdy osobno, zostali porwani prądem paniki i rozsypki, jak na pół nieżywi pozostali w rowach przydrożnych, jak nawet ranni lekko jeden i drugi, sił pozbawieni wlec się musieli za armią, zatrzymując się po wioskach i miasteczkach, w przystępach gorączki wycieńczającej, tak zapóźnieni, że nareszcie dopiero tu przychodzą trochę wzmocnieni, poszukując każdy swego pułku i swego plutonu.

Ze ściśniętem sercem Maurycy, który właśnie do sera sie zabierał, spostrzegł oczy ich żarłocznie i zazdrośnie w talerz jego wpatrzone.

— Panienko!... — zawołał — panienko!... jeszcze sera i chleba i wina jeszcze! Nieprawdaż koledzy!... odpoczniecie ze mną... ja funduję!... siadajcie... za wasze zdrowie!...

Usiedli zachwyceni... A jego zimno coraz większe przejmowało na widok tego litości godnego upadku żołnierzy bez broni, ubranych w czerwone spodnie i granatowe kapoty tak sznurkami powiązane, tak połatane i tak dziurawe, że podobni byli raczej do rabusiów, do cyganów, do noszących łupy, zdarte z trupów jakiegoś pola bitwy...

— Ha!... Ha!... niech dyabli!... zaczął znowu większy z nich z pełną gębą — nie żarty to były... tam!... Trzeba było tam być!... Opowiedz no... Coutard!...

I mały zaczął opowiadać machając rękami, w których chleb i ser trzymał na przemiany.

— Ja właśnie prałem sobie koszulę, a tam w kotłach zupę gotowali... Wyobraźcie sobie podłą dziurę, prawdziwy lej olbrzymi z lasami dokoła, które pozwoliły tym świniom prusakom podejść do nas na czworakach, tak, że się ich nikt nawet nie spodziewał... Aż tu o siódmej bomby nam padać w kotły zaczynają... jeść im się widać zachciało!... Jak ci się panie porwiemy, jak skoczymy do igliczek... i aż do jedenastej godziny, słowo honoru daję!... zdawało się, że im takie lanie sprawimy, co się patrzy!... Ale trzeba wam wiedzieć, że nas było ledwie pięć tysięcy, a te psiawiary szły i szły jakby z ziemi wyrastały!... Ja byłem panie na wzgóreczku i leżałem schowany za krzakiem... widziałem tedy doskonale, jak wyłazili z lasu i naprost i na prawo i na lewo, i wyłazili... i wyłazili... mrowisko całe, całe szeregi tych świń czarnych, i końca nie było i zdawało się, że już... i jeszcze leżą!... Niech dyabli!... Myśmy tam sobie wszyscy z przeproszeniem myśleli, że wodzowie muszą być straszne osły, kiedy nas wpakowali w takie gniazdo os i pozwalają nas gnieść jak karaluchów, zostawiając nas bez żadnej pomocy... Aż tu panie oto nasz generał, ani dureń, ani tchórz... ten przynajmniej.., poczciwe a tęgie chłopisko... generał Dunay łyka śliwkę i pęc!... leży jak długi!... Djabli wzięli... niema wodza!... Ale cóż... niema!... a trzymać się trzeba!... A przecież zadużo ich było, musieliśmy się wynosić!... Bijemy się w wąwozie, bijemy się na polance, bronimy dworca kolejowego w takim strasznym zgiełku i huku, że ogłuchnąć było można!... A potem... już potem nic niewiem... Musieli miasto zdobyć i znaleźliśmy się... my, mówię... na górze, co się nazywa, jeśli dobrze pamiętam, Geissberg, mi się zdaje!... i tam, panie, w jakimś niby zamku, za murami zaciśnięci... cośmy się ich nienazabijali, tych świń pruskich, to ha!... Skakali w powietrze i co się który porwie, to pęc!... i bach!... leży ryjem w ziemi, aż przyjemnie było patrzeć!... Cóż jednak było robić, niech dyabli!... Padali, bo padali, ale wyłaziło ich z lasu coraz więcej... Dziesięciu na jednego i armat ile chcesz, bez liku!.... Odwaga, panie!... to i cóż!...

wiasa!... Sambym poszedł do niej, alem z nią nie znajomy.

— Ja także już nie.

I zachmurzył się po tych słowach Kładka, zraniony przypomnieniem powodów, dla których zerwał z tą dziewczyną, obchodzącą go do niedawna wcale nie na żarty, dopóki się nie dowiedział o jej prowadzeniu. Obecność jej tutaj, o tej porze, w strojnej sukni, z świecidełkami przy uszach i na ręku, potwierdzała tylko wieść, że porzuciła uczciwą pracę. Była nawet zmięszana ich widokiem. I ją, ją prosić?... Nigdy!...

W tem dojrzał za bramą sterczący z wozu żółty rożek trumny Zawiasa i Zośkę, która przekraczała w tej chwili furtę.

Porwał się za nią co prędzej, zostawiając Malińskiego w niepewności, na krótko.

Nareszcie dopełniła się suma i mogli przystąpić do zarządcy, który zwracał na nich niekiedy zdala spojrzenia niecierpliwości i gniewu.

Ale kiedy przy pomocy grabarzy zabrali się do zdejmowania trumny z wozu, znów ich wstrzymano. Dzwonnik zawołał:

— Czekajcież chwilę, niech państwo przejdą — właśnie bowiem uczestnicy poprzedniego pogrzebu opuszczali cmentarz tłumnie, rozmawiając z ożywieniem, nadskakując kobietom i przywołując pojazdy.

„CZŁOWIEK-ZWIERZĘ“

przez Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Najkonserwatywniejszy, choć pod żadnym względem nie zadawalniający sposób tłumaczenia Kreutzerowskiej Sonaty jest ten: Tolstoj chciał wskazać na to, że mężczyźni obecnej doby w młodości swojej (przed zawarciem małżeństwa) prowadzą tego rodzaju życie, że do późniejszego pożycia małżeńskiego stają się niezdolnymi. Bezwątpienia jest on, podobnie jak Björnson, niezmiernie rozgoryczony z powodu złego i niegodnego życia, jakie regułą, podług ogólnego mniemania, prowadzą mężczyźni przed wstąpieniem w śluby małżeńskie. Zresztą sam Tolstoj złożył w swej „Spowiedzi“ wcale nie pochlebne zeznania, które, gdyby nawet były przesadzone, bądź-co-bądź wskazują, że on z własnego doświadczenia zna to, co tak surowo potępia: „Nie podobna mi wspomnieć owych lat, bez wstrętu, żalu i boleści. Nie ma występku, którego-bym się wówczas nie był dopuścił, zbrodni, do której-bym był nie zdolny. Kłamstwa, kradzieże, wybryki, rozpusty, morderstwo — wszystkiego tego stałem się mniej lub więcej winnym. Tam na włości mojej spędzałem czas, trwoniąc w szale upojenia i w grach karcianych ciężko przez mych poddanych zapracowany majątek, czyniąc ich ofiarami rozpustnych wybryków, oszukiwałem ich, sprzedawałem i t. d....“ Proszę porównać z tem charakterystykę Posdnyszewa w Kreutzerowskiej Sonacie, który się tarzał w „kale i szale rozpusty“. Moment to pokrewny z wywodami Björnsona: „mężczyźni, przynajmniej mężczyźni klas bogatszych, prowadzą w swej młodości życie na wskróś haniebne, pozbawione wszelkiego promyka uczucia, w rozpustnej kobiet wspólności“.

To jedno jest pewne, że tego rodzaju wynurzenia i wywody, w gruncie rzeczy tylko tych żywiej zainteresować mogą, którzy podobne przechodzili koleje, co owi wymienieni pisarze. Wrażenie zaś, jakie tego rodzaju utwory na przeciętnym ogóle męskich czytelników wywierają, jest takie, że nie czuje się wcale nimi dotknięty. Niejeden, którego trudno podejrzywać, iżby za świętoszka chciał uchodzić, powie sobie w duchu: Dosyć mi już tej gadaniny. To nie dla sfer wykształconych. Pomimo całej czasem wytworności tego rodzaju książek utwory o kierunku moralizującym przypominać zawsze będą, że prawdziwa sztuka zwracać się powinna do najbardziej rozwiniętych, do najwyżej stojących.

Spotykamy się pod tym względem w rozmaitych krajach z pokrewnemi literackimi zjawiskami. W tym mniej więcej charakterze wystąpił Dumas (syn), który według swych własnych zeznań w młodości swej bynajmniej nie żył życiem świętego, mniej więcej podobnie, jak św. Augustyn w pierwszej epoce swego życia; ustatkowawszy się i stojąc już prawie u progu starości, poczyna głosić i kazać surową etykę płciową, szpikując ją tu lub owdzie śmiałymi zwrotami i nader śliskiemi aluzyami. Występuje Björnson, który pozbawiony paryskiego doświadczenia Dumasa, w tym samym jednak się rozwinął kierunku, mając tylko, jako prawdziwy Norwegczyk więcej szczerości i świeżości. Obwieszcza on upadek płciowy brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. Musiał, jak się zdaje, w przeszłości swej wiele widzieć prostactwa, i sądząc, że zło umniejszy, uważa sobie działalność w tym kierunku poniekąd za zasługę. Czy prostactwo się umniejszy przez jego moralno-agitacyjną wędrówkę, którą w swoim czasie wśród ludu przedsięwziął, to pozostaje kwestyą. Pewną jest tylko rzeczą, że obniżył wielce estetyczną wartość swych pedagogicznych powieści przez nadanie im cechy na wskróś moralizującej.

Przypatrzmy się teraz bliżej Tolstojowi. Posiada on doświadczenie rossyjskiego junkra, które w swem cywilnem i wojskowem życiu nabył, i na niem się opierając, prawi morały ludziom, którzy nigdy junkrami nie byli, nigdy junkierskiego nie prowadzili życia, a w stosunku swoim do płci pięknej nigdy się nie znaleźli prostacko. Na takich jednak czytelnikach robią podobni moraliści w swej walce przeciwko panującej etyce społecznej wrażenie purytanów uderzających na papistów. Czytelnik umysłowo bardziej rozwinięty nie interesuje się sporami czysto-teologicznymi. Mnisie kłótnie! — jak pisał Hutten do papieża po pierwszem Lutra wystąpieniu.

Wszak istnieją jeszcze w dzisiejszych czasach ludzie, którzy w pewnych decydujących momentach czują, jak owi Grecy za najszczęśliwszych czasów starożytnej Hellady, ludzie dla których dualizm zwierzęcości i człowieczości nie istnieje, którzy się nigdy nie ta-

---

Odwaga w takich razach do tego tylko służy, żeby cię też do ziemi kulką przybili!... Niech dyabli, panie!... ale co osły, panie, nasze wodze, to już osły takie duże, jak świat!... nieprawdaż Picot!... Co?

Przez chwilkę było zupełnie cicho. Picot, ten większy, wychylił szklankę białego i obtarł sobie gębę wierzchem ręki.

— Oho!... juści!... To zupełnie tak, jak pod Fröschwiller, trzeba było być bydlęciem, co nawet siana nie jada, żeby się bić w takich warunkach. Mój kapitan, mały szelma, ale mądry chłop, sam to mówił... Pewnikiem chyba musieli nic nie wiedzieć!... Cała armia tych łajdaków spadła nam na kark wtedy, kiedy nas było zaledwie czterdzieści tysięcy. I nikomu do głowy nie przychodziło, że się tego dnia będziemy bili, bitwa się zaciągnęła powoli, potrochu, nawet podobno nasi wcale tego nie chcieli. Krótko mówiąc, ja... cóż ja wszystkiego nie widziałem... ale to, co wiem dobrze, to to, że się taniec rozpoczął od rana i trwał cały dzień, aż do końca i że, jak się zdawało, że to już koniec... skrzypki znowu zaczynały i tańcować trzeba było... Naprzód tedy w Wörth, piękna sobie wioska z zabawną dzwonnicą, co wygląda niby piec, bo jest cała kaflami z fajansu wyłożona. Nierozumiem po kiego licha kazali nam ją... tę wieś myślę... opuścić nad rankiem, kiedyśmy sobie potem zęby i pazury łamali, żeby ją na nowo zająć, i wszystko nadarmo!... O!.., dzieci moje, dzieci!... co się nam ludzi napotykało, ile tam brzuchów rozpłatali, ile mózgów się rozlało, to w to nikt nie uwierzy!... A potem znowu, koło innej wioski, tak ci się użerali... Elsasshausen... taka nazwa, co się aż mdło od niej robi!... Strzelali do nas, jak do kaczek i walili z kupy armat, co je sobie wygodnie ustawili na wierzchu jakiegoś psiakrew piekielnego wzgórza, z któregośmy także zeszli rano, choroba wie po co! I wtedy to widziałem, słuchajcie, ja, co tu z wami gadam, widziałem na własne oczy szarżę kirasyerów!... Ilu ich się tam zabić dało tych biedaków!... Litość bierze pomyśleć, żeby rzucać tyle koni i tylu ludzi na taki grunt!... Spadzistość porosła krzewami, pocięta rowami!...

I żeby się to jeszcze na co zdać było mogło... do pioruna!... Ale wszystko jedno, to była przynajmniej odwaga!... aż się na sercu gorąco robiło!... A potem cóż?... prosta rzecz, nie było co innego do roboty, trzeba było iść do innej wsi i na nowo dychać!... Tamte... hausen, czy jak tam, paliło się jak zapałka, badeńczycy, wirtemberczycy, prusacy, cała klika ta zbójecka, więcej niż sto dwadzieścia tysięcy — bo ich tam później tyle naliczyli —, otoczyli nas w końcu dokolusieńka!... I myślicie, że to koniec!... Furdæ!... Na nowo się muzyka rozpoczęła dokoła Fröschwiller! Bo co prawda, to prawda!... Mac Mahon osioł może jest, ale odważna psiakrew!... Trzeba go było widzieć na swoim koniu olbrzymim jak stał w gradzie bomb!... Inny by dał drapaka od samego początku... bo przecież niema wstydu nie chcieć się bić, jak się nie czuje na sile... ale on... nie!... jak się już zaczęło, to niech się psiakrew skończy!... I skończyło się psiakrew!... W Fröschwiller... dzieci moje, dzieci!... już nie ludzie, ale dzikie bestye się gryzły!... Przez dwie godziny rynsztoki krwią płynęły... A potem... cóż!?.. nie było rady, musieliśmy zmykać!... I gadali nam potem, żeśmy na lewem skrzydle potłukli bawarów!... A psiakrew!... gdybyśmy mieli, tak jak oni, sto dwadzieścia tysięcy!... gdybyśmy mieli armat dosyć... i wodzów trochę mniejszych osłów!...

I wściekli, rozżaleni, do rozpaczy doprowadzeni Coutard i Picot, w mundurach swych, na sztrzępki się rozpadających, popielaci od kurzu, krajali sobie chleb, połykali duże kawały sera, zmorę wspomnień swoich rozrzucając światu, wśród tej wesołością dyszącej altanki, wśród dojrzałych gron wina, objętych snopami promieni słonecznych. Teraz już do-

rzali w kale, nie mają złego sumienia i nie potrzebują nawrócenia. Do takich to ludzi przystępują wymienieni poeci, obchodząc się z nimi na równi z nałogowymi pijakami. „Na Boga żywego“ — wołają oni do czytelnika, „nie zbliżajcie kropli wina do warg swoich! Rozglądnijcie się w około! Żyjecie w świecie opojów i deliryków. Patrzcie! tu leży jeden w rynsztoku spity aż do zezwierzęcenia, tam drugi drgając na całem ciele w zatęchłej umiera komorze! Na Boga żywego — nie wychylajcie kielichów wina!“

A tymczasem pod gorącymi promieniami słońca dojrzewają złotawo-purpurowe grona winne. A Dyonizos, Bóg wina i trajedyi, z wiecznie zielonym wieńcem na skroni, spragnionemu i znużonemu — ożywczy podaje napój — pociechę człowieka. Ci panowie moraliści gotowi i Bachusa wystrychnąć na kandydata do delirium. Zapominają zaś, że słowa swoje zwracają do ludzi, co jak Grecy czują, bogu wina nie odmawiają hołdów, wino z wodą mięszane piją, rozkosznego doznają upojenia, nie zwierzęcejąc bynajmniej w opilstwie, którem się brzydzą i gardzą, jak zarazą.

Tołstoj nie zadawalnia się stanowiskiem Björnsona, jest on pod tym względem o wiele radykalniejszym. Z dziela jego bije fanatyzm potężnego uczucia, gdyby silna łuna, a jego na wskróś konsekwentny pogląd sięga o tyle głębiej od poglądów Björnsona, o ile chrześciaństwo pierwszych wieków głębsze jest od seminaryjnej mądrości nowoczesnej teologii.

Tołstoja oburza bestya w człowieku, człowiek-zwierzę. Oburza go wzajemny stosunek małżonków w ich obecnem pożyciu małżeńskiem. Namiętne oddawanie się miłości u nowożeńców podkopuje według jego mniemania wszelkie serdeczniejsze węzły, prawdziwy szacunek między kobietą i mężczyzną. Ono ma być przyczyną wszelkiego zła, jakie w ich wzajemnym stosunku kiedykolwiek powstaje. Ono podług niego wyradza u małżonków pogardę do siebie, ono to w chwilach cielesnego nieobcowania ma być przyczyną owej nienawiści, która przy najdrobniejszej nawet sprzeczce małżeńskiej z taką gwałtownością wybucha. Ono to jest nadto powodem owej strasznej, zaciekłej zazdrości, która podług przypuszczenia autora zawsze opanowuje i pożera jednego z małżonków — pożycie małżeńskie czyniąc istnem piekłem.

Interesujące to zaprawdę zjawisko, spotkać się w dzisiejszych czasach z tego rodzaju starochrześciańskim poglądem. Ani śladu tu owych zdrowych, starożytnych lub nowoczesnych teoryj życiowych, które w wzajemnem pożyciu dwojga kochających się istot przy całej z ich strony namiętności, upatrują coś pięknego i czystego. Ani tu śladu owego kultu natury, który w klasycznej starożytności zmysłowe życie uświęcił; ani tu śladu owego czułego przywiązania, które u ludzi nowoczesnych stosunek płciowy uszlachetnia, czyniąc go podstawą trwałego, pełnego rozkoszy, szczęścia. Punkt wyjścia powieści stanowi cytat z Pisma Świętego: „kto spojrzy na kobietę, aby jej pożądać, ten grzeszy z nią razem w sercu swojem“. Nową zaś na wskróś rzeczą jest to, że w oczach Tołstoja zdanie to i w małżeństwie samem ma swój walor. Powaga małżeństwa przez to bywa złamaną, że małżonkowie wzajemnie się pożądają. W stosunku idealnym — żona jest dla swego męża siostrą, niczem więcej. Jasną, logiczną konsekwencyą byłaby ta, którą wyciągnęli religijni sekciarze rosyjscy Skopcy — cielesne okaleczenie się. Tołstoj jednak tem się widocznie brzydzi. Natomiast życzyłby sobie widzieć żywioł zmysłowy na bardzo biernem stanowisku albo przynajmniej sprowadzony do minimum. Nie tylko wystawianie lub najlżejsze obnażanie obcisłych form ludzkich jest dlań czemś obydnem, lecz lęk go bierze wogóle przed sztuką, szczególnie przed muzyką, nie tyle jako budzącą zmysły, ile raczej uczucia. Stąd tytuł książki wzięty z utworu muzycznego. Myśl przewodnia powieści jest ta, że każdy znaczniejszy utwór posiada jakąś dziwną, porywającą potęgę, zdolną do przeniesienia słuchacza w ten stan duszy, w którym znajdował się kompozytor w chwili tworzenia. Dusze pieśniarza i słuchacza niejako spływają się i łączą. Podobnie wprawia muzyka słuchaczy tego samego utworu w jeden wspólny stan uczuć, pozwalając im się oderwać od otoczenia i z sobą nawzajem się połączyć. Może ona w tym wypadku oddawać — usługi rajfurskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWE PRĄDY FILOZOFII.

Nie i tak.

(Dokończenie).

W obecnej epoce, według Nietzschego, nic bardziej nie jest podziwu godnem, aniżeli t. zw. zmysł historyczny. »My współcześni zaczynamy właśnie tworzyć łańcuch przyszłego, bardzo potężnego uczucia — składamy się nań ogniwo za ogniwem — wiedząc zaledwie, co czynimy. Kto umie odczuć historyę ludzi jako własną historyę, odczuwa w ogromnem uogólnieniu całą ową boleść chorego, który myśli o zdrowiu; boleść starca, który o snach młodości myśli; boleść kochanka, którego pozbawiają ukochanej; boleść męczennika, tracącego swój ideał — bohatera w wieczór po bitwie, która nic nie rozstrzygnąwszy, jemu rany i stratę przyjaciela przyniosła; lecz nieść tę potężną sumę wielorakiej boleści, umieć ją nieść a być przytem bohaterem, który ze świtem następnego dnia bitwy, wita jutrznię i szczęście swoje, jako człowiek o widnokręgu tysiącoleci przed i za sobą, wita ją jako dziedzic wszystkiej pańskości, wszystkiego zeszłego ducha, i to dziedzic obowiązany — jako najwyższy szlachectwem wśród całej dawnej szlachty a zarazem pierwszy przedstawiciel nowego rodu szlacheckiego, o którym nikt jeszcze nigdy nie zamarzył: obciążyć wszystkiem tem duszę, obciążyć ją wszystkiem, co najstarsze, najnowsze, włożyć w nią straty, nadzieje, nabytki i zwycięstwa ludzkości: wszystko to mieć wreszcie w jednej duszy i skupić w

---

szli w opowiadaniach swych do owej przerażającej rozsypki, jaka potem nastąpiła: pułki pomieszane, rozproszone, zdemoralizowane, zgłodniałe, uciekające przez pola i łąki, szerokie drogi, płynące falami zbitego tłumu ludzi, koni, wozów, armat, cały ten rozpadek armii zniszczonej, popędzanej szalonym wichrem paniki. Kiedy już nie umiano się cofnąć porządnie i bronić przejścia przez Wogezy, gdzie dziesięć tysięcy ludzi mogłoby z łatwością zatrzymać setki tysięcy, trzeba było przynajmniej wysadzać w powietrze mosty, zagważdżać tunele. Ale generałowie pędzili przed siebie w przerażeniu, a taka burza ogłupienia i strachu się zerwała, ogarniając wszystkich, zwyciężonych i zwycięzców, że obie armie zgubiły się, jakby wzrok straciły i po omacku się szukały w biały dzień, Mac Mahon uciekał na Luneville, a książę następca tronu pruskiego szukał go w stronie Wogezów. Siódmego resztki pierwszego korpusu przekroczyły Savernę, będąca w obecnej chwili rzeką błotnistą i z brzegów wypartą mnóstwem tych szczątek, jakie w nią zapadły. Ósmego pod Sarrebourg piąty korpus wpadł na pierwszy jak jeden potok wezbrany i rozszalały na drugi, również wzburzony, uciekający także, pobity bez walki, wlokący ze sobą swego wodza, smutnego generała de Failly, zrozpaczonego tem, że jego bezczynności przypisywano odpowiedzialność za klęskę. Dziewiątego i dziesiątego szalony ten galop trwał dalej, ucieczka bezmyślna, wściekła, bez oglądania się nawet po za siebie. Jedenastego, pod deszczem ulewnym zwrócono się na Bayon dla uniknięcia miasta Nancy, z powodu fałszywej wieści, jakoby ta stolica Lotaryngii była już w mocy nieprzyjaciela. Dwunastego obozowano pod Haroué, trzynastego pod Vicherey, a czternastego znaleziono się pod Neufchateau, gdzie nareszcie kolej żelazna zabrała tę toczącą się bezwiednie prawie masę, ładując ją jakby łopatami w pociągi przez trzy dni z rzędu, aby ją przewieść pod Chalons. W dwadzieścia cztery godzin po odejściu ostatniego pociągu przypadli prusacy.

— A!... psiakrew!... to ci los!... — kończył Picot — jakich to trzeba było nóg, żeby tak uciekać!... A my... co nas w szpitalu zostawiono...

Coutard wysączył właśnie resztę butelki do szklanki swojej i swego kolegi.

— Tak!... niech dyabli!... zebraliśmy nasze łachmany, drapnęliśmy i dotąd drapiemy!... Ale co tam!... niech dyabli!... jeszcze się dobrze dzieje. kiedy można wypić szklankę wina za zdrowie tych, którym jeszcze łba nienakręcili...

Teraz Maurycy rozumiał. Po głupim napadzie pod Wissenburgiem, straszny bój pod Fröschwiller był jakby uderzeniem piorunu, którego ponure blaski w jasnem świetle postawiły całą okrutną, nagą prawdę. Francya była zupełnie nieprzygotowana, artylerya marna, uzbrojenie nędzne, intendentura żadna, liczby wojsk i ilości zapasów kłamliwe, generałowie nieudolni... a ten nieprzyjaciel pogardzany ukazuje się silny i pewny, niezliczony, wyćwiczony doskonale, karny, przy taktyce wybornej. Słaba osłona siedmiu korpusów, rozsypanych od Metzu do Strassburga została rozdarta bez trudu przez trzy armie niemieckie, jak przez trzy olbrzymie potęgi. W jednej chwili Francya znalazła się sama jedna, odosobniona. Ani Austrya, ani Włochy nie przyjdą z pomocą, plan cesarza rozpadł się wśród powolności działania i nieudolności dowódzców i fatalność jakaś jeszcze, która przeciw Francyi się zrywała, gromadząc przeszkody, tworząc trudności nieprzewidziane, dopomagając bezwiednie tajnym zamysłom prusaków, którzy dążyli do tego, aby armię francuską przeciąć na dwoje, jedną jej połowę odrzucić pod Metz, dla odcięcia jej od kraju i iść pod Paryż, zniszczywszy po drodze drugą połowę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

jednem uczuciu: musiałoby to dać szczęście dotychczas ludziom nieznane, — szczęście Boga, pełne potęgi i miłości, łez i śmiechu pełne, szczęście, które niby słońce z wieczora wciąż z nieprzebranej skarbnicy bogactw swoich czerpie, w morze je zsypując, a czuje się wtedy dopiero najbogatszem, kiedy i najuboższy żebrak złotem wiosłuje wiosłem! To boskie uczucie zwałoby się natenczas — człowieczością! «

Najbardziej jednak hamuje rozwój ludzkości pewna okoliczność, która się poniekąd stała cechą moralności obecnej i moralności z epok podobnych, cechą typową dla ich rozwoju, którą to cechę spotykamy wszędzie tam, gdzie da się stwierdzić wstrzymanie rozwoju ludzkiego. Hamulcem tym jest uważanie człowieka za cel. Człowiek obecny nie jest bowiem celem — jest tylko pewnym etapem rozwojowym, drogą od zwierzęcia do — **nadczłowieka.**

Oto najwyższy — najpiękniejszy wytwór fantazyi Nietzschego.

Nadczłowiek to nowa jutrznia — zapowiedź nowego, najcudniejszego dnia życia, program dziś niepojętej, może nie odczutej jeszcze ery człowieczeństwa, ery pełnej chwały, wielkości, siły, nowych celów, nowych ideałów, nowych dróg pełnej, dróg — do czego? może do nowej znowu epoki? a może do niczego —?

Podkreślam jeszcze raz, że co tu przedstawiłem, to tylko drobne okruszynki z suto zastawionego stołu, przy którym bardzo mało dotąd siada biesiadników, bo ludzi odstrasza pokarm niezwykły.

Lecz ci, którzy do uczty zasiedli, rozkoszują się stokrotnie każdem daniem.

W końcu wzmianka o stylu Nietzschego: Podniósł język niemiecki na wyżyny, o których nikomu się przedtem nie śniło, pokazał co można było zrobić z owego twardego języka — przysłowiowo ciężkiego, niedźwiedziego. Nietzsche pisze po niemiecku — jak żaden francuz — po francusku.

Dr. Garfein.

Rudolf J. Kronbauer.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

Chorzy właśnie wchodzą do kościoła. Idą czwórkami, naprzód mężczyzni, za nimi kobiety. Jest ich około dwustu — są to wszystko wybrani i całkiem pewni chorzy, ze strony których nie potrzeba się obawiać żadnych wybryków. Przyglądam się im z wielkiem współczuciem, ponieważ widzę ich dziś po raz pierwszy. Widocznie i z mego oddziału jest również kilka sztuk, ponieważ spostrzegłem między dozorczyniami niebieską, starannie wyprasowaną perkalową suknię i biały fartuszek. Niektóre typy w szeregach obłąkanych są bardzo uderzające; są to zwłaszcza tak zwani arystokraci z klasowych oddziałów. W pierwszej ławce siedzi poważny, pięćdziesięcioletni mężczyzna z piękną, szpakowatą brodą i zupełnie dotychczas czarnym wąsem. Złote binokle tworzą z energicznem obliczem dobrą całość. Ubrany całkiem czarno, na rękach czarne rękawiczki a na ławce przed nim leży francuzki cylinder. Siedzi z głową wspartą na lewej ręce i zdaje się być głęboko zadumanym. Obok niego siedzi ksiądz w sutannie — jak się dowiedziałem od swego kolegi — proboszcz * * *.... z * * *..... Jestto miła, dobrotliwa i przyjemna twarz. Na pierwszy rzut oka przypomniał mi piękną głowę przeora kawalerów maltańskich Fr. Slanskego. W chudych, kościstych rękach trzyma kieszonkowy modlitewnik, na okładkach mocno odarty i obszarpany, i modli się gorąco. Z twarzy jego i oczu promienieje więcej prawdziwej pobożności, niżeli u barczystego patra na stopniach ołtarza, śpiewającego prędko i pospiesznie dojmujące. „Vere Signum et justum est....“ Trzecim z rzędu jest silny, w ramionach uderzająco szeroki mężczyzna z białą głową i szpakowatym, dzielnym wąsem à la militaire. Ręce ma skrzyżowane na piersiach jako Napoleon, spogląda spokojnie na ołtarz i obserwuje pilnie każdy ruch księdza — przypuszczałem, że to musi być jakiś dygnitarz, i nie myliłem się. Gdy wychodzili z kościoła, nie uszło mej uwagi, że krok jego był pewny, wojskowy, a ręce na piersiach skrzyżowane. Chwilami przymykał oczy, i wtedy to ukazywały się piękne, długie, mlecznej białości brwi. Gdy się uśmiechnął i równocześnie spuścił powieki, widziałeś na tej twarzy szczególniejszą mieszaninę nieubłaganej surowości i niezaprzeczonej dobrotliwości. Co trzeci krok podrzucał prawą nogą, jak to zwykli czynić dygnitarze, odrzucający pałasz od łytek. Ostatnim z arystokratów zakładu, obecnych na mszy żałobnej, był mały, co najwyżej cztery stopy mierzący człowieczek z garbem zprzodu i z tyłu. Owinięty był w ogromny kożuch, jakiego się używa podczas jazdy na saniach w zamieć styczniową. Na trzy piędzi szeroki kołnierz futrzany okrywał mu głowę. Gdyby nie ten kożuch, zgubiłby się garbusek w ławce jak dziesięcioletni chłopczyk. Twarzy nie widać, bo tkwi w kołnierzu jak w kapturze. Niktby, doprawdy, nie powiedział, że ten człowiek posiada przeszło pół miliona majątku. Już prawie na sam koniec mszy przyszedł jeszcze jeden „kawaler“ — tym razem jednak rzeczywisty szlachcic baron * * *..... Stanął obok pana ze złotymi binoklami, wyjął z kieszeni książkę do modlitwy i pobożnie się modlił. Wysokość barona istotnie uderzająca przypomina dziedziczny wzrost jednego z pierwszych szlacheckich rodów czeskich. Angielska, jasna, mocno-rudawa broda, delikatna i miękka jak puch brzoskwiniowy; wąsy wygolone. Gęste włosy ostrzyżone przy samej głowie, co jej nadaje wygląd dziecinny. Gdy inni powstali podczas błogosławieństwa, można było powiedzieć, że jak Saul pokolenie ludzkie, tak on przewyższał wszystkich o całe ramiona. W lewem oku miał monokl, który zrzucał co chwila mrugnięciem i znowu z brawurą zasadzał wyrzuceniem prawej ręki, a który szpecił piękną i regularną jego twarz. Pod lewem okiem spostrzegłem wielką, okrągłą bliznę, właściwie żłobek, wytłoczony monoklem. Ubranie, uszyte według wymagań najświeższej mody; krótkie okrycie szarej barwy, swobodnie rozpięte, podszyte czerwoną materyą. W dziurce od guzika zatknięty śnieżysty kwiat tuberosy, który podobno napuszcza kolońską wodą. Spodnie u dołu dostatecznie szeroko zagięte, pozwalają widzieć zielono i niebiesko pręgowane pończochy, tkwiące w żółtych trzewikach. Później dowiedziałem się o nim zajmujących szczegółów. Baron jest wybornym karambolistą, bawiąc się robi trzydzieści do czterdziestu karamboli jeden za drugim, zachowując się przy grze z wielką elegancją. Przez całą partię — grają do stu — nie przemówi ani jednego zbytecznego słowa, ale za to gwałtownie pali papierosa po papierosie. Tryb jego życia jest regularniejszy od zegarka. Rano budzi się o godzinie dziewiątej i zjada śniadanie w łóżku jak Thorwaldsen. Do dziesiątej godziny czyta gazety i wypala jedno cygaro. Potem wstaje, myje się starannie i wkłada ubranie na ten dzień przeznaczone. Co dzień bowiem bierze inny ubiór; w poniedziałek myśliwski, we wtorek czarny, we środę żółty z brunatnemi pręgami i t. d. Po tem idzie ze swym kamerdynerem na spacer do ogrodu zakładowego, wypala drugie cygaro i udaje się wprost do pokoju gry, gdzie gra i zazwyczaj wygrywa dwie partje o dziesięć trabukosów. Od dwunastej godziny w południe pali wyłącznie ruskie papierosy a do drugiej kibicuje innym graczom. Już druga dochodzi, lecz dotychczas nie zjawił się na jego twarzy nawet najlżejszy uśmieszek. O kwadrans na trzecią zjada obiad sam jeden w swym pokoju, wypija filiżaneczkę mocnej, czarnej kawy, godzinkę drzemie lub też na kanapce czyta gazety popołudniowe i znowu idzie do sali gry, witając obecnych panów odmierzonym ukłonem. Gra do ósmej lub do wpół do dziewiątej, kłania się swemu partnerowi i odchodzi na wieczerzę. Po jedzeniu wyciąga się na kanapce, pali papierosy i słucha z wielkiem zajęciem angielskiego albo francuskiego romansu, który mu na głos czyta jego kamerdyner, właściwie towarzysz, którego potrzebuje niezbędnie co chwila. W czasie gry w bilard pija wodę, więc starczy odpowiednie spojrzenie a już kamerdyner podaje mu szklankę świeżego napoju. Kija bilardowego sam sobie nie kreduje, lecz podaje kamerdynerowi, który musi zważać na każde skinienie swego pana a zwłaszcza pilnować chwili, w której ten wyjmuje z kieszeni papierosa. Ledwie papieros dostaje się do ust, już kamerdyner musi stać za panem z zapaloną zapałką, gdyż baron obraca się o pół głowy, zapala i gra dalej — spokojnie, bez przerwy a elegancko. Przypominam sobie, że jeden znany śpiewak operowy obserwował ze szczególnem zamiłowaniem zachowanie się barona przy grze i naśladował go później — lecz bezskutecznie. Było to przecież tylko udane, nienaturalne i na efekt obliczone, podczas gdy baron niema kogo kokietować, a jednak właśnie, mówię to całkiem poważnie, oczarowuje. Odwiedziny obcych ludzi, w sali bilardowej z powodu barona bardzo ograniczone, są mu na pozór całkiem obojętne, kto go jednakże zna bliżej, zauważy z łatwością na jego twarzy nieukontentowanie. Spostrzegłem, że po wejściu obcego człowieka przestaje na chwilę grać, wyprostowuje ciało, jakby się chciał zapytać „kto jesteś i czego tu chcesz?“, przymruża oczy, mierzy odwiedzającego od stóp do głowy, puszcza potężny kłąb dymu, jakby cały papieros chciał wypalić jednem że tak powiem pociągnięciem i gra dalej. Przytrafiło się kilka razy, że odwiedzający mimowoli ukłonił się baronowi. Jestto instynktowne uszanowanie dla człowieka, który jak powiedziałem jest obłąkany a którego kawalerskie maniery i wygląd mimo to wywołują u was fałszywe wrażenie, jakobyście stali przed wielkim dygnitarzem. Przy wizycie podaje rękę dyrektorowi, innych lekarzy nie zaszczyca ani jednem spojrzeniem. Czasami skarży się na tę lub ową potrawę, że nie była należycie przyprawioną, niekiedy zaś prosi dyrektora, aby wyjechał z nim fiakrem na spacer do Stromówki albo do Roztoku. Prośba ta sprawia mu wyraźną przykrość, widać, że się przemaga, lecz ma prze-

cie tyle świadomości, iż bez dyrektora nie mógłby wyjechać. Czasami miewa odwiedziny osób, których imiona stoją w rzędzie najpierwszych szlacheckich. Wtedy ożywia się nieco, przemówi kilka słów, ale nigdy się nie uśmiechnie. Raz tylko miałem szczęście widzieć na tej lodowatej twarzy biały kwiatek uśmiechu. Odwiedziło barona jakieś hrabiątko w niepokalanym uniformie husarskiego dygnitarza. Grali partję do stu o wysoką stawkę. Obaj są znakomitymi graczami, jeden prześciga drugiego. Baron został o trzydzieści karamboli w tyle, gdyż kij mu się obśliznął. Inny gracz tupnąłby nogą lub stuknął kijem o ziemię; baron zaznaczył swoje nieukontentowanie tem tylko, że wypuścił monokl z oka. Jestto wprawdzie drobnostka, lecz wykonana z brawurą. Kamerdyner nakredował tym razem kij bardzo pilnie. Nareszcie baron zaczyna znowu grać i to z dziwną biegłością i pewnością siebie. „Sześćdziesiąty,“ zwraca uwagę swego partnera, wyjmującego właśnie z kieszeni jakiś przedmiot w papier zawinięty.

„Widziałeś?“, pyta barona towarzysz, podnosząc do góry fotografię w gabinetowym formacie.

Baron wyciąga rękę po fotografię i przygląda się jej. Widziałem zupełnie wyraźnie, że to była fotografia kobiety z nagą szyją i głęboko odkrytą piersią.

Baron popatrzył chwilę na fotografję i uśmiechnął się — po raz pierwszy, o ile przynajmniej ja widziałem. Lecz był to nadzwyczaj szczególny uśmiech. Gdyby się nie uśmiechał tak rzadko, możnaby policzyć do jego osobliwości i tę, iż nosi monokl w lewem oku a śmieje sie się prawym kątem ust. Przy uśmiechu sfałdowała się górna warga a dolna obniżyła się znacznie — lecz wszystko to nie trwało ani pięciu sekund.

Nie powiedziawszy ani słowa zwrócił fotografję jej właścicielowi.

Hrabia wkłada ją do kieszeni i odzywa się naraz dziwnym tonem:

„Chciałaby cię widzieć.“

Baron zbladł śmiertelnie.

„Tej wizyty nie przyjmę — oświadcz jej to w sposób o ile możności najdelikatniejszy,“ rzekł bezdźwięcznym głosem, nakierował kij, zrobił karambol i już z całkiem zimną krwią rachował: „Sześćdziesiąt jeden.“

Drugi już mu się nie udaje. Został znacznie w tyle i przegrał partję.

Przez dwa dni po tym wypadku nie przychodził do sali bilardowej. Trzeciego dnia przyszedł o zwykłej porze, uderzająco blady i—jeżeli podobna — jeszcze sztywniejszy. Siadywał na kanapce i bez żadnego współudziału obserwował zapasy graczów. Czasami oparł głowę na ręce, dotykającej się łokciem kolana, posiedział tak choćby całą godzinę i zapomniał nawet palić. Trwało to koło czternastu dni, dopóki nareszcie nieotrząsnął się z tej bezwładnej zadumy...

Za „arystokratami“ zakładu siedzą — chorzy trzeciej klasy, zamożniejsi ludzie i biedacy. Nie przedstawiają nic osobliwego — poważne i wytrzeszczone oczy, uśmiechające się i przelęknione twarze. Jedni modlą się z książek, inni klęczą z rękami w górę wzniesionemi i spoglądają z poddaniem się a ufnością na krzyż w ołtarzu. Niektórzy gapią się dokoła siebie, jeden uśmiecha się głupkowato, zwracając głowę w górę ku chórowi, a słysząc łagodną muzykę wyciąga głowę jak wąż. Uważam, że wielu z nich jest zimno, gdyż trzęsą się na całem ciele. Przyszli w lekkich, letnich kaftanach a w kościele zimno, jak w lodowni. Mam na sobie grube palto, a nie jest mi wcale ciepło.

Po drugiej stronie siedzą kobiety. W pierwszej ławce obłąkane z klasowego oddziału. Zaraz na brzegu zwróciła moją uwagę, właściwie uderzyła, obecność damy w grubej żałobie. Długi żałobny welon, przerzucony przez ramię, sięga do ziemi jak tren. Gdyby niewtajemniczony przyszedł do kościoła i spojrzał na tych ludzi w pierwszych ławkach, powiedziałby, że na prawo siedzą funkcjonarjusze zakładu a na lewo ich małżonki. Dama w żałobie jest żoną dyrektora jednej z największych i najgłośniejszych fabryk w Czechach. Znałem ją jeszcze jako młodą, zdrowiem tryskającą małżonkę i szczęściem a zadowolnieniem promieniejącą matkę dwóch przemiłych dzieciaków. Byłem wtedy jeszcze studentem, lecz według nagannego zwyczaju nazywano mię już panem doktorem. Na ostatnim roku medycyny, że tak powiem, na progu doktoratu, spotkało mnie ciężkie i druzgoczące nieszczęście. W przeciągu tygodnia zmarli mi ojciec i matka a ja zostałem osierocony i opuszczony, zmuszony iść o własnych siłach. W tydzień po tych dwóch nigdy nie zapomnianych pogrzebach spacerowałem po lesie, żegnając się może na zawsze a co najmniej na długi czas z miejscami, z których, jako kwiat z pośród mchu, uśmiechały się zewsząd miłe wspomnienia. Człowiek starzeje się i zapomina, i gdyby mu przypadek nie poświecił czasami na drodze przeszłości, wielu rzeczy nie przypomniałby sobie wogóle nigdy.

Nagle ukazują się między drzewami zarysy postaci pani dyrektorowej. Obok niej, podobnie jak jelonki obok łani, drepczą dwaj zwinni chłopcy. O kobiecie tej krążyła po całej prowincji pochlebna wieść, że jest pierwszą krasawicą. Dzisiaj nie potrafię już opisać wrażenia, jakie na mnie wywarło spotkanie się z nią, wiem tylko tyle, że zawsze budziła we mnie podziw i patrzyłem na nią, jak na słońce.

Starszy chłopaczek, spostrzegłszy mnie, przystanął i przyglądał mi się z ciekawością.

„Mami, mami“, zawołał na swą matkę.

W tej chwili znalazła się przy nim,

Chłopaczek, wskazując na m n i e palcem, powiedział:

„To ten pan, któremu umarł ojciec i matka, prawda?“

Dopiero wtedy spostrzegła moję obecność.

Pozdrowiłem ją, a uśmiechu nigdy nie zapomnę. Był odpowiedzią na powitanie, usprawiedliwieniem dziecięcej szczerości i wyrazem współczucia dla mego nieszczęścia. Tak uśmiechać się potrafią — tylko kobiety...

Siedzi jak posąg, a gorąca modlitwa pełnym blaskiem płynie z jej jasno-niebieskich, wielkich i dotychczas jeszcze pięknych oczu. Za innych, szczęśliwszych dni swego życia była to kobieta, olśniewająca pięknością — dziś to tylko jej cień. Ciężki ból i wielkie niezmierne nieszczęście, które zabrało spragnionemu miłości sercu czułego i kochającego małżonka i szczebioczące dzieci, zmieniły ją do niepoznania. Lica zżółkły a wkoło ust usadowiły się, w postaci promienistych zmarszczek, niestarte ślady cierpienia. Czyż to nie okropne — oto kobieta modli się do Boga o powrócenie męża i dzieci, modli się tak gorąco i pobożnie, lecz napróżno. Ciało jeszcze przed dwoma laty pełne i okrągłe, usycha jak podcięte drzewo, piersi zapadają, choroba zwolna ale pewnie niszczy jej ciało, aż w końcu położy ją do trumny chudą, wynędzniałą, samą skórę i kości.

Po cóż więc i na co modli się ta nieszczęśliwa?

Obok niej siedzi staruszka licząca siedmdziesiąt lat z okładem, powiedziałby każdy sądząc z wejrzenia. Nikt nie uwierzy, iż nie obchodziła dotychczas pięćdziesięcioletniej rocznicy swych urodzin. Bujne jej włosy są białe a rysy twarzy giną pod siatką gęstych i głębokich zmarszczek. Jest również w grubej żałobie. Możnaby sądzić, że to siedzą obok siebie matka z córką.

Dama z białymi włosami nie modli się — ręce złożone bezwładnie na łonie a głowa spuszczona, nisko na piersi. Oczy, smutnie i czule w ziemię utkwione, przejmują do głębi rezygnacyą. Rozwarte oczy zmarłych, których dusza świeżo ciało opuściła, mają ten sam bolesny wyraz.

Pocóż, na Boga, wzięli tę kobietę do kościoła? (D. c. n.)

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna.)

X.

(W 400-ną rocznicę odkrycia Ameryki.)

Dzień 3-ci sierpnia 1492 r. stanowił jedną z najważniejszych dat w dziejach świata. Tego dnia Krzysztof Kolumb wypłynął z portu Palos w Andaluzyi. Flotylla jego składała się z trzech statków, z których tylko jeden, „Santa Maria,“ którym dowodził sam naczelnik wyprawy, był zaopatrzony w pokład, gdy dwa drugie, „Pinta“ Marcina Alonsa Pinzon'a i „Nina“ brata jego Wincentego Janara Pinzon'a, były tylko wielkiemi otwartemi czółnami. Załoga składała się ze 120 ludzi z Palos i okolicznych miast. Nigdy w dziejach równie drobnymi środkami nie osiągnięto równie olbrzymich rezultatów! Od urodzenia Chrystusa bowiem odkrycie Ameryki jest niewątpliwie najważniejszym wypadkiem dziejów — wypadkiem, który najbardziej rozszerzył widnokrąg ludzkości, nietylko pod względem znajomości ziemi, lecz także pod względem wszystkich innych nauk, ogólnej cywilizacyi, wszystkich stosunków społecznych i państwowych.

Kolumb wyjechał z Palos celem odszukania najkrótszej drogi do Indyj, a odkrył Amerykę! Jednak to odkrycie nie było przypadkiem, lecz od wieków przygotowanym owocem pracy i aspiracyj ludzkich. Tak samo, jak zdobycze Rzymian i zjawienie się w stosownej chwili świeżych ludów germańskich i słowiańskich na widowni europejskiej były dziejowem przygotowaniem do rozpowszechnienia chrześciaństwa, długie, wszechstronne, często daremne, a zawsze ponawiane zabiegi wyprzedziły odkrycie Ameryki.

Wyprawy morskie w kierunku zachodnim sięgają przedchrześciańskich czasów. Herodot wspomina o podróży dokoła Afryki, dokonanej przez Fenicyan w 600 r. przed Chrystusem z rozkazu króla Nechosa. Pewną zdaje się być rzeczą, że później Hanno z flottą 60-u okrętów dotarł do ujścia rzek Gambii i Senegalu, i że Fenicyanie odkryli wyspy Kanaryjskie. W tym samym czasie, kiedy Aleksander Wielki wkroczył do Indyj, kupiec Pytheas z Massylii, okrążywszy W. Brytanię, zwiedził wyspy Hebrydzkie, czyli tak zwaną wówczas Ultima Thule.

Kiedy ustały wędrówki ludów, głównie Normanie odznaczyli się śmiałemi wycieczkami na morzu. W IX wieku rycerz normański Ohthere okrążył północne brzegi Norwegii. Nadodd około r. 967 dopłynął do Islandyi, gdzie odkrył ślady przybyłych tam z Irlandyi eremitów. W drodze do Islandyi Normandczyk Gunnbjörn, burzą zagnany daleko na Zachód, odkrył nazwane, według niego, wyspy, po za któremi ukrywa się stały ląd amerykański — Grenlandya. Około r. 986 Eirik Czerwony, wygnany z powodu morderstwa z Norwegii, a potem z Islandyi, do której się był schronił, z garstką osadników osiadł na tych brzegach, które nazwał „Grünland" — Groenland, czyli Grenlandya. Niebawem wieść o tém odkryciu dotarła do niemieckich stolic handlowych. Około r. 1000 Laif, syn Eirika, zawitał do brzegów dzisiejszego Stanu Massachusetts, które Adam Bremeński nazywa „Winland" — krajem wina.

W trop za śmiałymi rycerzami, missyonarze przybyli do Grenlandyi. Od początku XII wieku istnieje tam stolica biskupia. Ostatnim biskupem, który tam rezydował od r. 1368 — 1378, był Alfr, potem aż do r. 1537 akta Stolicy Apostolskiej wymieniają tytularnych biskupów Grenlandyi, chociaż tymczasem wiadomość o tym kraju zatraciła się. W r. 1476 Polak Jan z Kolna, wysłany przez duńskiego króla Krystyana I celem odszukania Grenlandyi, dotarł do Labradoru i zatoki, nazwanej później zatoką Hudson'a.

Jeżeli jednak te dawniejsze odkrycia można położyć po części na karb prostego przypadku, po części na rachunek bezwiednego prądu awanturniczego, to w XV w. gorąca ta żądza rozpoznania całej powierzchni świata, połączona z żądzą zysków handlowych, opanowała południową i zachodnią część Europy i skierowała wszystkie siły ku temu samemu celowi. Z wydoskonaleniem przyrządów marynarskich współzawodniczą uczeni kartografowie, jak sławny Behain, kardynał Pierre d'Ailly, autor dzieła „Imago mundi" (około r. 1410), dr. Toscanelli (1397 — 1482), którego sławny list z r. 1474 głównie wpłynął na zamiary Kolumba. Nawet błędy tych uczonych, którzy odległość pomiędzy zachodnim brzegiem Europy a Indyami przez Atlantyk podawali jako znacznie krótszą, niż jest istotnie, przyczyniły się do ułatwienia dzieła Kolumba, który, znając dokładnie rzeczywistą odległość, a nie wiedząc, iż w drodze napotka stały ląd amerykański, nie byłby może odważył się na swą wyprawę. Oprócz wynalazków marynarzy i gorliwości uczonych kartografów, zapał monarchów, zwłaszcza współzawodnictwo pomiędzy Hiszpanią a Portugalią, tworzyło jeden z głównych czynników w tej ogólnej żądzy odkryć.

Wszystko to nie uszczupla wiekopomnych, osobistych zasług Kolumba. Był to mąż swego czasu, który się powierzył falom prądów współczesnych, ale też swym niepospolitym charakterem zapanował nad niemi. Ile to potrzeba było namaszczenia, odwagi i wytrwałości, aby w owych trzech karawelach puścić się na nieznane morza? Ale więcej jeszcze trzeba podziwiać niezrównaną dzielność i wytrwałość, którym po kilkunastoletnich zawodach zawdzięczał wreszcie, że 3-go sierpnia 1492 r., jako admirał Kastylii i wicekról krajów, które odkryje, mógł rozpocząć wyprawę!

Krzysztof Kolumb urodził się w Genui, niewiadomo dokładnie w którym roku, pomiędzy 1436 do 1456. Prawdopodnie urodził się w r. 1446. *) Od 14-go roku życia swego służył na statkach. W r. 1477 odbył daleką podróż do wysp Taroe, około r. 1480 zaś w służbie portugalskiej wyprawę do Gwinei. Wtedy w Lizbonie ożenił się z Filippiną Muniz Perestrello i osiadł w jéj majątku na wyspie Porto Santo. W tym czasie dojrzał jego plan wyprawy do Indyj przez Atlantyk.

Prawdopodobnie w r. 1483 wyłuszczył go królowi portugalskiemu, Janowi II. Doznawszy odmowy, gdy tymczasem umarła jego żona, udał się do Hiszpanii, gdzie z razu przebywał na dworze księcia Medinaceli, w r. zaś 1486 za wstawieniem się kardynała Mendozy, biskupa Toledo, otrzymał posłuchanie u królowej Izabelli i był przyjęty do świty królewskiej. Z lat 1487 i 1488 zachowały się jeszcze rachunki, z których wynika, że z kass królewskich otrzymał kilkakrotnie drobne wsparcia, co najwięcej dziesięć dukatów.

Tymczasem plan jego poddano pod rozbiór komisyi, złożonej z uczonych geografów, astronomów i duchownych. Potomność bardzo surowo potępiła nieuctwo i przesądy téj komisyi, która odrzuciła projekt Genueńczyka. Pominąwszy nowość i śmiałość planu, Kolumb w obec komisyi najwięcej zaszkodził sobie tém, co rzeczywiście najwięcej dopomogło mu do dokonania dzieła swego: mistyczną, niczem niezachwianą wiarą w posłannictwo swoje. Zamiast poprzestać na wyłuszczeniu swych geograficznych dowodów, starał się przedewszystkiem przekonać komisyę cytatami z autorów starożytnych i z Pisma Świętego, które niby to zapowiadały jego zwycięztwo. Nie przechowały się wprawdzie protokóły komisyi w Salamance, ale z wynurzeń Kolumba w różnych listach łatwo się domyślić, jakim sposobem zaznaczył się jego mistycyzm. „Obcowałem — powiada w jednym z tych listów — z różnymi uczonymi, duchownymi i świeckimi, łacinnikami Grekami, Żydami, Maurami i wielu innymi. Do tego Bóg udzielił mi ducha rozpoznania. W nauce marynarskiej obdarzył mnie pełną wiadomością i dał mi także, ile potrzeba, w astronomii, geometryi i arytmetyce. W tym czasie studyowałem wszelkiego rodzaju pisma: dzieje, kroniki, filozofię i inne nauki." Albo: „Najświętsza Trójca skłoniła w. k. mość do podjęcia wyprawy do Indyj, w swej nieskończonej łasce wybrała mnie, abym ci to oznajmił. Przeto, jako wysłaniec Najświętszej Trójcy, przybyłem do w. kr. mości, jako do najpotężniejszego monarchy chrześciańistwa, który tak wiele dba o rozpowszechnienie wiary. Pomimo wszelkiéj niedoli, której doznałem, byłem pewny, że moje przedsięwzięcie uda się, i obstawałem przy niem, ponieważ wszystko przeminie, wyjąwszy słowo Boże. I w rzeczy samej Bóg o tych strefach tak wyraźnie przemawia przez usta Izajasza na różnych miejscach Pisma Świętego, gdy zapewnia, że z Hiszpanii (tak tłómaczy Kolumb: „Kończyny świata") święte jego imię będzie daleko rozpowszechnione." Tak też odnosił do siebie proroctwo z tragedyi *Medea* Seneki:

„Venient annis saecula seris,
Quibus Oceanus vincula rerum
Laxet, et ingens pateat tellus,
Thetysque novos detegat orbes,
Nec sit terris ultima Thule." *)

Wreszcie nietylko oświadczał gotowość użycia skarbów, które zdobędzie, na oswobodzenie Grobu świętego, lecz także powoływał się na konieczność spiesznego nawrócenia wszystkich pogan, ponieważ, według jego obliczeń, już tylko kilkadziesiąt lat dzieliło świat od jego końca.

Jeżeli Kolumb w obec komisyi w Salamance wysuwał naprzód podobne argumenta, nie dziw, że zwłaszcza teologowie spoglądali na niego z pewną podejrzliwością. Nadto stosunki polityczne, wojna z Maurami, w danej chwili nie pozwalała władzom Hiszpanii zająć się gorliwie projektem Kolumba. Przebywał tedy samotnie w Sewilli i Kordowie. Wreszcie w r. 1491 zamierzał opuścić Hiszpanię. W drodze do Huelvy, gdzie zamierzał wsiąść na okręt, z synem Diegiem zawitał do starożytnego, wybudowanego na wzgórzu przy morzu klasztoru OO. Franciszkanów La Rabida, gdzie obecnie na balkonie za klasztorem krzyż oznacza miejsce, na którem wycieńczony troską i głodem upadł, błagając o jałmużnę. Tutaj nastała peripetya w losach Kolumba. Gorliwe poparcie ojca Juana Pereza do Marchena, byłego spowiednika królowej Izabeli, sprawiły, że królowa ostatecznie przystała na projekt Kolumba, i gdy w styczniu 1492 r. poddała się Granada, wydała rozkazy wygotowania statków.

Jeszcze w ostatniej chwili wyprawa groziła rozbiciem się o przesadne, jak się zdawało, żądanie Kolumba tytułu admirała, dziedzicznej godności wice-króla wszystkich odkrytych krajów, tudzież dziesiątej części dochodów. Rada królewska stanowczo odrzucała te żądania. Atoli Kolumb upierał się przy nich z ową niezachwianą wiarą i wytrwałością, która go wiodła do celu. Dnia 17-go kwietnia podpisano układ, którego potem nie dotrzymała korona hiszpańska, i teraz Kolumb przy pomocy bogatego marynarza Pinzon'a zajął się złożeniem nędznej flotyli, z którą 3-go sierpnia wypłynął z portu Palos.

*) Porównać: d'Avezac: „*Année véritable de la naissance de Christophe Colombe.*" Paryż 1872.

*) „Nadejdzie czas, gdy Ocean rozerwie swe więzy, cała kula ziemska stanie otworem i morze odsłoni nowe kraje, a Thule przestanie być krańcem świata."

LISTY PARYSKIE.

(Dokończenie).

Taki jego Intruz, tacy są ślepcy, taka księżniczka Maleine. Zwłaszcza ślepcy. Wyszli w pole na przechadzkę: stąpają po aksamitnych łąkach, w koło nich złocą się łany zbóż. Siadają w zaciszu, słońce promienne, lśniące, jak złote. Naraz gubi się im przewodnik, umiera ze starości tu pod tchnieniem przyrody, oni zostają sami bez przewodnika, myśli ciemnieją, umysły płoszą się, noc pada w ich dusze, wtedy kiedy i nad ziemią rozpostarła czarny swój płaszcz. Albo Maleine: wieczorem jasno, z nieba padają roje gwiazd, ale w tejże chwili już wkrada się w dusze stojących na straży przed znakiem żołdaków lęk, przeczucie czegoś złego. Poeta uśmiechnął się, aby twarz schmurzyć i zasępić. Ojciec Maleine'y obraża jej narzeczonego Hjalmara, ojciec Hjalmara mszcząc urazę — niszczy za-

mek oblubienicy swego syna, ta przypadkiem uchodzi tylko rąk żołdaków, w łachmanach żebraczki dostaje się do zamku Hjalmara, odkrywa mu kim jest, kochanek znewu pada w jej objęcia. Lecz robi się coraz ciemniej i ciemniej, jego ojciec opiera się jego żeniaczce, matka knuje złe zamysły, Duszą nareszcie oboje żonę syna, pies który był w izbie gdzie spełniono zbrodnię ucieka, potem dobywa się do drzwi, syn odkrywa zbrodnię, zabija matkę, przebija siebie, w zamek uderza grom i kiedy słońce wynurza się z cieniów, zamek płonie jak pochodnia. Trwoga i trwoga, — nareszcie potęguje się zgroza.

To samo obserwujemy w wyższym stopniu jeszcze na Intruzie i Siedmiu księżniczkach; to samo w Pelleasie i Melizandzie.

Ostatni utwór łączy w sobie wszystkie zalety dawnych. Muzykalny, pełen poezyi, owiany tajemniczością. Lecz nadto posiada myśl społeczną. Przedstawia kobietę cierpiącą od kolebki do grobu: uciekającą z domu przed przymusowem zamążpójściem, dręczoną i trapioną przez starego, niesympatycznego dla niej męża, umierającego zato, że pokochała młodego jego brata. Do łoża jej śmiertelnego przynoszą jej maluczką córeczkę: ona mała — mówi — i wątła, będzie płakać całe życie, jak ja płakałam. Wreszcie umiera, dziadek każe odnieść dziecko. „Weźcie malutką, tamta wymęczyła się, na tę teraz kolej.“

Tak złożone są utwory Maeterlincka, że wyczerpującego potrzeba studyum, aby je dobrze podchwycić i scharakteryzować. Charakterystyczną jego cechą jest życie natury wespół z człowiekiem; wszystkie nieszczęścia, wszystkie smutki są przepowiedziane przez wypadki zaszłe w przyrodzie. Kiedy ma umrzeć córka staruszka (w „Intruzie“) drzwi niechcą się zamknąć; w Pelleasie i Melizandzie nie ma ani jednego zajścia, któreby nie zostało poprzedzone jakiemś zajściem w przyrodzie. Kiedy mają zginąć Pelleas i Melizanda, synek męża Melizandy spotyka trzodę pędzonych do rzeźnika, płaczących owiec; kiedy wpada w serce Melizandy promień miłości ku Pelleasowi, tonie w sadzawce zaręczynowy jej pierścień, a jej męża równocześnie, o tej samej dwunastej godzinie w południe, koń w borze rzuca i przywala cielskiem. Jeszcze zanim przyjechała Melizanda do zamku Folanda, skrzydła bramy zamkowej niechcą się już dać odsunąć, bo czują „wielkie jakieś wypadki.“

Drugą bardzo ważną właściwością Maeterlincka jest jego symbolizm. To symbolizm iście symboliczny. Osoby oderwane są od czasu i przestrzeni; gdzie są, kiedy żyją — nie wiemy. Ich uczucia, analiza ich duszy są ogólnemi; trwoga u starca jest trwogą milionów przed śmiercią, przed przyszłością, przed czemś nieokreślonem. Historya Maleine'y — to historya kochającej kobiety, poślubionej wbrew woli burżoazyjnych rodziców. Melizanda to typ kobiety ogólnej, wiecznej; anioł cierpienia nie odstępuje od jej boku ani na krok. I gdyby Maeterlinck wytrwał w kierunku, w którym podążył w Pelleasie, przeszedłby nie tylko do historyi artyzmu, ale do historyi społeczeństw. Bo literatura tak oddziaływa na życie społeczne, jak filozofia i ekonomia, a z ust jej nigdy nie powinien odlatywać protest na krzywdy społeczne i bezprawia.

Śmiesznem jest spotykane nieraz tłómaczenie Maeterlincka w sposób dziecinny, scholastyczny. Jego osoby objaśniane bywają jako Grzech, Człowiek, Cnota i t. d. Stara to rzecz nierozumienie młodych poetów. Dla nas symbolizm, rozumiany jako istotna symbolizacya, może być bardzo sympatycznym, zwłaszcza jeśli oblicze swe zwróci ku życiu i wielkim palącym pytaniom społeczeństwa.

W. Bugiel.

PRZYSZŁOŚĆ OKKULTYZMU*).

Rzadko kiedy rozwój kulturalny zapowiadał się tak ciekawie, jak w czasie obecnym. Wszędzie, na wszystkich polach ruchu umysłowego słyszymy ciągle powtarzane pytania: Co to będzie, co to będzie? Kto albo co rozwiąże węzeł gordyjski, w który zamotał się wiek dziewiętnasty?

Kto głębiej myśli i bystro obserwuje walkę duchową naszej epoki, nie wątpi że ów czas nowy — przyszły potrzebuje też nowego światopoglądu. Materyalizm bowiem nie posiada pozytywnej siły kulturalnej; w puch rozbił wprawdzie wiele szkodliwych przesądów, ale ta jego działalność negatywna jest też jedyną. I oto rodzi się pytanie: W jakich granicach obracać się będzie owa działalność pozytywna przyszłości? — bowiem nie istniała dotąd epoka rozkwitu ludzkości bez jakiejś wielkiej myśli pozytywnej.

Jest symptomatycznem, że w ostatnich czasach okkultyzm czyli, jak go jeszcze — niestosownie — nazywają „spirytyzm,“ tyle na siebie zwraca uwagi. I dla niego szczęśliwsze nastały czasy. Nie jest on już zabytkiem, reminiscencyą starych „dobrych,“ zabobonnych czasów, nie jest już kotwicą, którejby się chwyciły słabe umysły, odznaczające się brakiem przekonań, lecz jest potężnym, z każdym rokiem wzmagającym się prądem duchowym, nieuniknionym skutkiem naszego dotychczasowego naturalnie — organicznego rozwoju kulturalnego, nauką starającą się przeniknąć tajemnice zagadnień wszechświata równie bystro, jak materyalistyczne nauki przyrodnicze. Kto na ów jedyny prąd metafizyczny naszego czasu, jako na śmieszną głupotę, spogląda i uważa go za dzieło — oszustwa, ten może słyszał albo nawet widział szarlatanów, wyzyskujących zabobon naszych czasów, ale nie ma pojęcia o nowych torach, na jakie wszedł okkultyzm ani o charakterze specyalnym, jaki przybrał. Jestto bowiem droga rozwoju duchowego ludzkości, ruch kulturalno-dziejowy, do którego przyszłość należy. Dowodem tego niechaj będzie, że dziś nie ma już poważnie myślącego człowieka, któryby milczeniem negował teorye okkultystyczne. W jaki sposób kto na nie patrzy — to obojętne, ale każdy na nie spogląda i każdy ma o nich jakieś zdanie. Główną przyczyną tego jest niedostateczność światopoglądu materyalistycznego i tęsknota naszej epoki za prawdziwszem wytłomaczeniem związku wszechświatowego — tęsknota za ideałem, któryby nas wzniósł ponad marnotę codziennego życia. Tęsknota zaś bywa symptomem istniejących już albo zbliżających się zdolności i możności osiągnięcia tego, za czem się tęskni. Jeżeli kto waha się jeszcze badać poważnie i bezstronnie owe teorye okkultystyczne, to podobne ociąganie się łatwo można wytłómaczyć filisterską obawą przed nowatorstwem; można ich przecież nie wyznawać ale zbadać je uprzednio należy.

Złośliwi i nieznający rzeczy głoszą, że okkultyzm szuka jakiegoś przejścia do nauk przyrodniczych by na ich gruncie dalej się rozwijać. To jest zupełnie mylnem. Ruch okkultystyczny stanął w tak jaskrawej sprzeczności z materyalizmem — a nim głównie przesiąkły dzisiejsze nauki przyrodnicze, że o połączeniu mowy nie ma. Owe przeciwieństwo do „nauki“ jest warunkiem życiowym okkultyzmu; jego najgłówniejszą podstawą jest negacya czysto materyalnego pojmowania świata. Materyalistycznie zabarwiony okkultyzm — nie ma przyszłości i zaniknąć musi — treść jego duchowa żyć będzie i zwycięży.

Nawet materyalista nie może zaprzeczyć, że nasienie rośliny ma na celu — powstanie nowej rośliny. Bowiem tworzenie się nasienia nie odbywa się na korzyść rośliny rodzącej, lecz — rośliny zrodzić się, powstać mającej. O tyle celowość uznaną być musi. Wedle tych samych praw, zasad i celów odbywa się rozwój ludzkości. Każdy ruch w dziejach kultury ma pewien oznaczony cel. Pytając więc o przyszłość jakiegoś prądu kulturalnego, należy wpierw poznać cel, do jakiego prąd ten dojść i warunki, pod którymi na rozwój ogólny wpływ wywrzeć może. Jakaż więc będzie przyszłość ruchu okkultystycznego? Ruch ten, nie naruszając nauk materyalistycznych, zajmujących się czysto — materyalną stroną świata, da ludzkości dwudziestego wieku nowy światopogląd metafizyczny, światopogląd który ją o tyle odsunie od świata zwierzęcego, o ile ją materyalizm doń zbliżył. Ten nowoodkryty świat, w którym człowiek według swej istoty udział bierze, będzie czysto duchowym, wolnym od wszelkiej materyi i udowodni zupełną rzeczowość tego, co dotąd nazywano — abstrakcyjnem — idealnem. Rzeczowość ta pod względem intensywności bytu, zdolności działania i żywotności będzie przynajmniej taką, jak rzeczowość materyalnego świata zjawisk.

A. B-ski.

*) Artykuł powyższy umieszczamy nie godząc się bynajmniej na wszelkie w nim wyrażone zapatrywania, wierni zasadzie, że pismo nasze powinno być miejscem starcia wszystkich poglądów, tyczących się rozwoju kulturalnego naszej epoki. Dyskusyi dalszej w tej mierze łamy naszego pisma stoją otworem. *(Przyp. red.)*

POKŁOSIE LITERACKIE.

„Wszechmocni.“ Kartka z kroniki miasta powiatowego, wycięta przez autorkę „Księżniczki.“ Kraków 1892, str. 453.

Jerzy Wilczek, świeżo upieczony doktor prawa i filozofii, ma przenieść się na stałe do Paryża dla szukania karjery. Jest mieszkańcem Królestwa, a wobec dzisiejszego systemu rządowego, drogę do znaczenia i sławy widzi zamkniętą. W Rosyi mógłby zrobić karyerę, ale Paryż wydaje mu się pewniejszy, gdyż ma w nim protekcyę, mogącą go wysoko zaprowadzić. Przed wyjazdem pragnie jednak pożegnać się ze swoją babką, mieszkającą w miasteczku powiatowem Kozłowie, starodawnej Wilczków siedzibie. Zamiary Jerzego boleścią przejmują babkę, która też nie szczędzi rad i ostrych słów wnukowi. Kobieta to wyższego umysłu i głębokiego patryotyzmu. Dla niej im cięższe położenie kraju, tem większy obowiązek pracy dla niego i w nim, choćby na polu najskromniejszem. Argument Jerzego, że dorzucający zdobycze do ogólnego skarbu wiedzy, odblaskiem swej sławy jest użytecznym krajowi, odpiera Wilczkowa prostemi słowy: „Nie

wysilajmy się naprożno na to, aby zwrócić na nas oczy świata, bo choć bywały rzeczy bardzo jaskrawe, świat udawał, że ich nie widzi... Zdobycze dla nauki i cywilizacyi zostawmy narodom bogatszym i szczęśliwszym. Myślmy przedewszystkiem o utrzymaniu naszego bytu... w dobrem gospodarstwie robić należy zawsze naprzód to co pilniejsze... W dzisiejszych czasach nikt nie powinien odchodzić z domu daleko, bo nie wie czy z powrotem zastanie wszystko, co pozostawił. Jedź tam, zresztą, — mówi, — jedź tam, gdzie lepiej wynagrodzą twoje usługi, biedna ojczyzna nie ma czem za nie płacić... Mówisz, że przemawiam do ciebie jak do obcego, a czemże staniesz się dla mnie od pojutrza, jeżeli nie obcym? Jeżeli ci tu nic nie jest drogiem, ani ludzie, ani ziemia, ani powietrze, ani groby, to jedź." Toż samo, tylko w innej formie, powtórzyła Jerzemu śliczna kuzynka Jadwiga, towarzyszka jego lat dziecinnych. Tymczasem wyznaczenie wbrew prawu w domu babki Jerzego kwatery dla pułkownika Redena, który podczas powstania kazał rozstrzelać jej syna, zapoznaje bohatera powieści z korupcyą mało, miasteczkową. Burmistrz, sekretarz, komisya kwaterunkowa, toć to wszystko indywidua ujemne, żyjące z obchodzenia prawa i okradania współobywateli. Naczelnik powiatu Gonczarow patrzy przez palce na ich czynności, bo ma w nich dogodne narzędzia ucisku lepszej części polskiego społeczeństwa. W Wilczku odzywa się natura dumna, nieustępująca przed nikim; używa wszelkich środków prawnych przeciw narzuconej kwaterze, ale „wszechmocni" drwią sobie z tego i staruszkę wyrzucają z jej własnego mieszkania. Po napisaniu pretestu, po wniesieniu skargi do gubernatora, Wilczek uważa swe zadanie za spełnione. Rozkochany w Jadwidze, gotów byłby zostać, lecz tylko dla niej; ona odtrąca go, bo nie może kochać człowieka, który myśli tylko samolubnie o własnem szczęściu. „Chcąc posiąść moje serce— mówi do niego, — trzeba wprzód mieć duszę napełnioną inną, świętszą miłością, wobec której nie ma poświęceń, ani ofiar... miłością, która słabe dzieci przemienia w mężów, a męczennikom w godzinę śmierci daje uśmiech tryumfu. Ja takiego ukocham, co nietylko karyerę ale mnie samą dla obowiązku poświęcić potrafi." Wilczek zaczyna Jadwigę „nienawidzieć," ale pozostaje naprzód na krótko, później na czas dłuższy, aby wieść walkę z „wszechmocnymi." Pomaga mu w tem tajemnie jedyny typ dodatni wśród zgrai urzędniczej, baron Stern komisarz włościański, patryota rosyjski, ale człowiek sprawiedliwy, marzący o tryumfie słowiańszczyzny, lecz nie przy pomocy knuta. Historya tej walki, kończącej się po wielu niepowodzeniach (Stern np. dostał dymisyę) zwycięstwem Jerzego, zajmuje trzy czwarte powieści. Autorka posiada dokładną znajomość stosunków w Królestwie i ustaw państwowych rosyjskich, umie też drobnym napozór faktom nadać znaczenie podstawowe. Wyciągać wszelkie korzyści z tych nawet praw, jakie istnieją w Królestwie, bronić się z kodexem i ustawami w ręku przeciw wszelkiej samowoli satrapów niższego rzędu i zdemoralizowanych urzędników, — oto myśl przeświecająca z kartek powieści. Niektóre epizody tej walki ze samowolą są świetne, pełne charakterystyki, a częstokroć i humoru. W djalogach Wilczka z babką i Jadwigą pięknośé myśli walczy z pięknością i siłą języka. Słowem powieść to jedna z najciekawszych i zajęłaby pierwszorzędne miejsce w naszem powieściopisarstwie, gdyby nie parę „starożytności" w prowadzeniu akcyi i w zakończeniu. Dla połączenia „nienawidzących się" kochanków, autorka urządza pożar w miasteczku, a następnie powódź. Naturalnie Wilczek jest bohaterem: wynosi jakąś kobietę z pośród ognia (aj, jakie to stare!) a podczas powodzi ratuje... Jadwigę, która także bohaterstwa popełnia. Zaręczyny młodej pary kończą powieść, której ostatnia kartka przenosi nas... w krainy nieznane. Jerzy, naczelnik straży ogniowej, członek deputacyi kwaterniczej, rajca miejski, odbywa termin u szewca, zakłada fabrykę obówia maszynowego, i jednocześnie za swe prace filozoficzne i prawnicze otrzymuje dyplomy honorowe uniwersytetów zagranicznych; — pisma illustrowane podają na gwałt jego portrety i widoki... Kozłowa. Ta ostatnia kartka psuje całe wrażenie. Powieść tchnąca prawdą, zamienia się na fantazyę. Może już tak gdzie bywa, ale niestety jeszcze nie u nas.

K. B.

„Grabarze," powieść dwutomowa Jozefa Rogosza. Warszawa 1892. Nakładem T. Paprockiego i Ski.

Autor „Marzycieli" dał nam w swym nowym utworze powieściowym dosadną charakterystykę galicyjskiego społeczeństwa, które zna wybornie. „Grabarze" — to rzecz osnuta na tle głośnego w swoim czasie procesu kukizowskiego, a więc tętniąca jeszcze aktualnością zupełną i budząca duże zaciekawienie. Właściwość tego pisarza — ów publicystyczny zamach — objawiła się w „Grabarzach" silniej, niż gdzieindziej. Nie zastanawiamy się szerzej nad ostatnią powieścią Rogosza, zamierzając wkrótce pomieścić w naszem piśmie szereg sylwetek współczesnych powieściopisarzy.

* * *

Na Podolu, kartka z życia. Kraków 1892, str. 125. napisał Daniel Czechryński.

Bohdan miał dwie wsie zadłużone i kochał Marylkę Słobodecką, córkę swego opiekuna. Ojciec wolał hrabiego niż Bohdana: Marylka za jego wolą, wyrzekła się miłości. Bohdan zgrał się w karty, uratował go Junosza. Ale stosunki się pogorszyły, bieda powraca. Sprzedaje Bohdanówkę fabryce cukru, a Nowosiółkę wypuszcza jej w dzierżawę. W Nowosiółce niemiec Erdman bierze go do pomocy przy gospodarstwie. Pracuje. Marja, opuszczona przez hrabiego, nie chce Silbersteina. Bohdan zostaje ekonomem. U Junoszów spotyka Marylkę. Ta się chce tłómaczyć, on nie chce słuchać. Marylka napada go konno pod figurą Matki Boskiej. Oświadcza mu się; on: nie i nie! Marylka skacze ze skały, krzak darniny ją ratuje. W Nowosiółce znaleziono fosforyt: Słobodecki wytacza proces Bohdanowi o te grunty, w czem mu pomaga adwokat Renard, zdemaskowany przez Bohdana. Cudem znajduje się dokument, dowodzący złej woli i oszustwa Słobodeckiego. Marylka, usłyszawszy na bulwarze rozmowę o „spodleniu się" ojca, dostała pomieszania zmysłów. „Biedna! — wyrzucił Bohdan". Na tem koniec. Rzecz bez wartości literackiej, musi być chyba fotografią jakiegoś faktu z gruntu podolskiego, ale fotografią bardzo lichą i bez sensu.

K. B.

Powstanie Swidrygiełły, ustęp z dziejów unii Litwyz Koroną napisał Prof. Dr. Anatol Lewicki. Kraków, 1892. in 4-o str. 389.

Poważne to dzieło, wydane nakładem Akademii Umiętności, a uwieńczone pierwszą nagrodą na konkursie Niemcewicza, wymaga obszernej recenzji, o którą się też postaramy. Streszczenie dzieła w kilkunastu wierszach jest czysto niemożebne. Zaznaczamy tymczasem, iż poglądy autora na stosunek Litwy do Polski, zupełnie się różnią od poglądów Cara, Prochaski, Smolki i t. d. Autor jest wielbicielem Jagiełły do tego stopnia, że nawet broni go od zarzutu lubieżności. Na każdym kroku spotykamy pochwały dla dyplomacyi polskiej „Wojna z całą nacją niemiecką" w r. 1432 i unia grodzieńska z tegoż roku, szeroko są opowiedziane. Przypiski umieszczone po treści wskazują, jak rozległy materyał wyzyskał autor. W dodatkach mamy 14 dokumentów, wyjętych przez autora z archiwów państwowych w Królewcu, Gdańsku i Dreźnie. Dla unii autor ma tylko wyrazy prawie uwielbienia. Dzielne pokolenie magnatów, które rządziło razem z królem porównywa do senatorów rzymskich. „Wojnie z nacją niemiecką" zawdzięczała Ruś swoje równouprawnienie, unia sama swą niespożytą trwałość, a potomność pełne znaczenia upomnienie: *in hoc signo vinces*. „Tak pisze autor Rusin — ileż w tych słowach więcej patrjotyzmu polskiego niż w elukubracyach niektórych naszych historyków, co jak przyłożą do dziejów naszych skalpel pseudokrytyki i swych wysokich poglądów (nauki tam niewiele), to pozostawiają na szacie dziejowej tylko swoje plwociny".

K. B.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. W. S. w Z. — Redaktor naszego pisma wyjechał na kilka tygodni z Krakowa, dlatego w sprawie druku „Pyszałków" na razie zadecydować nie możemy.

P. Fr. K. w L. — Może zużytkuje jakieś pismo pedagogiczne — dla nas rzecz nieodpowiednia.

Pani T. L. w Kryn. — Bawi, o ile wiemy, w Sobotach, pod Gdańskiem.

MISCELANEA.

*** Teatr krakowski rozpoczyna dnia 1-go września nowy sezon przedstawieniem dramatu Kozłowskiego „Kazimierz Wielki i Esterka."

*** Zamianowani zostali Dr. Miodoński profesorem filologii klasycznej, Dr. Kostanecki profesorem anatomii przy Uniwersytecie Jagiellońskim, a Dr. Steinbach nadzwyczajnym profesorem filologii klasycznej przy tymże Uniwersytecie.

*** Illustrowany krakowski dwutygodnik „Świat" przeszedł w inne ręce; dotychczasowy

redaktor tego pisma, p. Sarnecki, wstępuje do redakcyi tutejszego Kuryera polskiego.

*** „Przeglądu Emigracyjnego“ Nr. 3 zawiera: Osobny dział sztuki polskiej na wystawie światowej w Chicago, napisał Roman Lewandowski, Okólnik Nowojorski do artystów i literatów naszych, Zamorska wędrówka z pod panowania rosyjskiego napisał A., Polacy w Brazylii. I. Centralne stacye immigracyjne napisał Antoni Hempel, Sprawozdanie Seminaryum polskiego w Detroit, Rozmaitości.

*** „Przeglądu Emigracyjnego“ Nr. 4 zawiera: Syberyjska Emigracya polska, Osobny dział sztuki polskiej na wystawie światowej w Chicago, napisał Roman Lewandowski, Polacy w Brazylii. II. w miastach, napisał Antoni Hempel. Przybycie do portów, Przez obce szkła, Rozmaitości, Organizacye polskie w Ameryce.

*** Rozprawka o cholerze, streszczająca najnowsze poglądy ze stanowiska naukowego, profilaktycznego i policyjno-sanitarnego, napisana przez prof. dra Walerego Jaworskiego, wydana została staraniem krakowskiego Towarzystwa lekarskiego.

*** Teatr polski w Petersburgu. Artysta dramatyczny p. Kamiński, organizujący obecnie nowe Towarzystwo dramatyczne na sezon zimowy do Petersburga, zaangażował w tych dniach w Warszawie kilka cenniejszych sił teatralnych. Nowe towarzystwo dramatyczne składać się będzie z 40 osób, działalność zaś swoją rozpocznie z dniem 1 października b. r.

*** Na wystawie sztuk pięknych w Monachium przyznano pierwszy medal złoty Alfredowi Kowalskiemu i Kazimierzowi Pochwalskiemu, drugi zaś medal Chełmońskiemu, Fałatowi i Malczewskiemu.

*** P. Leopold Méyet, posiadający wiele cennych pamiątek po największych poetach naszych, nabył w tych czasach komplet listów Juliusza Słowackiego, pisanych do matki, rękopis jego dziennika z podróży na Wschód, oraz zaczętej przez tegoż poetę powieści po francuzku.

*** Przedstawienia polskie w Wiedniu zostały odłożone na dzień 9 września z powodu że p. Sembrich Kochańska potrzebuje czasu na wyuczenie się roli Halki. Również co do koncertów zaszła pewna zmiana. Odbędą się one mianowicie nie w hali, jak to było projektowane, lecz w samym teatrze wystawy.

*** Wyszły z druku dwa ostatnie tomy (5 i 6) „Pism zbiorowych“ Włodzimierza Spasowicza. Wydawnictwo to podjęła firma Br. Rymowicza w Petersburgu.

*** Nakładem księgarni T. Paprockiego wyszły cztery nowe tomiki „Biblioteki powszechnej.“ Zawierają one część „Ramot i ramotek“ Wilkońskiego i nowele Wilhelma Feldmana.

*** „Estetyka“ Verona wyszła w przekładzie polskim p. A. Langego, nakładem księgarni T. Paprockiego.

*** Księgarnia T. Paprockiego w Warszawie zapowiada wydanie Chemii (nieorganicznej i organicznej) dra S. Zeisel'a w przekładzie M. Flauma. Dzieło to zawiera wykład zjawisk chemicznych, oraz ich zastosowanie w życiu praktycznem, z 261 drzeworytami w tekście.

*** Utalentowany nowelista, p. Brolis, wydał zbiór swoich obrazków powieściowych p. t. „Marzenia,“ w którym mieszczą się: Baśń mitologiczna, Iurgis Durnialis, Ibrahim, Z dziennika pesymisty.

*** W ostatnim (sierpniowym) zeszycie warszawskiego „Ateneum“ znajdujemy ciekawe wspomnienie p. Ludwika Jenikego, b. redaktora „Tyg. Illustr.“ „O Gabryeli Narcyzie Żmichowskiej i entuzyastkach“.

*** Wszechnica padewska na dzień 7-y grudnia i dni następne przygotowuje cały szereg uroczystości na cześć słynnego Galileo Galilei, dawnego profesora tegoż uniwersytetu. Wszystkie wybitniejsze uniwersytety zagraniczne otrzymają zaproszenie na ów obchód, który rozpocznie się odczytem i poświęceniem sztandaru Galileusza, utkanego rękoma pań padewskich.

*** Czeska Akademia Umiejętności uchwaliła na walnem zgromadzeniu obdarzyć narodowy teatr czeski w Pradze złotym medalem za wawrzyny, zdobyte podczas występów gościnnych w Wiedniu. Wręczenie tej zaszczytnej nagrody odbyło się dnia 19-go lipca w foyer teatru.

*** Herman Sudermann, autor „Końca Sodomy“ przenosi się z Królewca do Berlina. Ostatni dramat jego grano trzy razy w Brunświku, obecnie jednak został przez policję tamtejszą zakazany.

Najnowszy utwór Sudermanna: p. t. „Wesele Jolanty“ należy do rzeczy słabszych.

*** Na tegorocznej wystawie sztuki w Berlinie odznaczył cesarz Wilhelm wielkim medalem złotym: Franciszka de Pradilla, malarza z Madrytu, rzeźbiarza prof. dra Jana Schikinga z Drezna i malarza Juliana Fałata; małym medalem złotym malarzy: Józefa Blocha z Monachium, Hansa Thoma z Frankfurtu, Hansa Fechnera i prof. Maksymiliana Kocha z Berlina, rzeźbiarzy: Gerharda Jonascha z Berlina i Harro Magnussena z Szarlottenburga; nadto otrzymał mały medal złoty królewski tajny radca budowlany dr. A. Meidenbauer z Berlina. Senat królewskiej akademii sztuk udzielił zaszczytną wzmiankę 22 malarzom, trzem rytownikom, pięciu rzezbiarzom i dwom architektom.

Obraz Fałata przedstawia cesarza na polowaniu w Schorfhaide. Po mistrzowsku oddany jest jesienny, mgłą zasłonięty krajobraz i portret Wilhelma II.

*** Obraz Fałata, „Powrót z polowania na niedźwiedzie,“ znany publiczności naszej z wystawy tutejszej, nabyło miasto Berlin do swoich zbiorów publicznych.

*** Krzysztof Kolumb, wedle dokumentu urzędowego, odnalezionego przez Franciszka de Uhagon, nie urodził się w Genui lecz w Savonie. Dokument ten znalazł się w spisie rycerzy orderu Santjago, ośmiotomowym manuskrypcie, przechowywanym w sekretnem archiwum madryckiem. W spisie tym podane są nazwiska, pochodzenie i czyny każdego rycerza wedle własnego jego zeznania. Co się tyczy Kolumba w spisie tym znajduje się „natural di Saona cerca de Genua“ (rodem z Savony okręgu Genua.) Syn wielkiego żeglarza Diego dnia 3 marca 1535 roku zeznał raz jeszcze pod przysięgą, że ojciec jego „jest rodem z Savony, miasta, należącego do okręgu Genui“. Zeznanie to poświadczyło tegoż samego dnia wielu znajomych Krzysztofa Kolumba. Z tego wnosić można, że już wówczas miejsce urodzenia wielkiego męża było wątpliwe. Że Kolumb wyjątkowo lubił Savonę można wnosić z tego, że jedną z odkrytych wysp nazwał „Savoną“. Gdy o treści dokumentu dowiedziało się mieszczaństwo Savony, radość wielka nastała w mieście i w sobotę wieczorem wyruszył przez miasto pochód z chorągwiami i pochodniami przy okrzykach: „Viva Colombo“. Tegoż dnia wysłano do Franciszka de Uhagon telegram z podziękowaniem za odnalezienie dokumentu, mocą którego Savonie wraca najznakomitszy z jego obywateli. Za to genueńczycy są oburzeni. Dzienniki miejscowe występują przeciw Franciszkowi de Ubagan, akademii madryckiej i wszystkim hiszpańskim uczonym, którzy dali się złapać na tak wyraźne fałszerstwo. Czterysta lat Genua uchodziła za miejsce rodzinne wielkiego odkrywcy i w Genui, jako pamiątkę jego utrzymują dom rodzinny. Kolumb sam oświadczył w Hiszpanii, że pochodził z Genui. Nigdy więc Genua, jak piszą dzienniki, nie zgodzi się na to, by na mocy jakiegoś dokumentu pisanego nie wiadomo kiedy i przez kogo, wyrzec się miała zaszczytu, który przez cztery wieki jej przyznawano.

*** Podczas wszechświatowej wystawy kolumbijskiej w Chicago odbędzie się kongres etnologów, zajmujących się wyłącznie lub przeważnie Afryką. Najważniejszym przedmiotem obrad będzie obmyślenie środków, z których pomocą ludność biała mogłaby łatwiej opierać się niszczącym skutkom tamtejszego klimatu i w ten sposób szybciej ucywilizować Afrykę. Pragnący wziąć udział w owym kongresie, którego członkowie dzięki hojności rządu Unii zwiedzą najbardziej zajmujące miejscowości w Stanach, zechcą po bliższe szczegóły zgłaszać się do p. Józefa E. Roy, Chairman General Committees Congres Auxiliary, Chicago, United States of America.

*** Towarzystwo tatrzańskie przygotowało w tym roku piękną premię dla członków swoich. Oto do „Rocznika Towarzystwa“ dodaną będzie serya widoków Pienin. Najpiękniejsze punkta uroczych widoków z nad Dunajca od Czerwonego klasztoru począwszy, aż do Szczawnicy („Trzy korony“ i „Czerwony klasztor.“ „Sokolica,“ „Wielkie przechodki,“ „Ruiny zamku czorsztyńskiego,“ „Czerwona Skałka“) zdjął umyślnie w tym celu fotograf p. A. Szubert z Krakowa. Heliograwury zrobiono z nich w zakładzie wiedeńskim Paulussena.

*** G. Hauptman, autor „Samotników,“ napisał doskonałą nowelę p. t. „Apostoł.“

*** Zola, wyjechawszy do Médan, gdzie jest wolny od licznych odwiedzin, pracuje pilnie nad XX-tym tomem „Rougon-Macquartów,“ który będzie nosił tytuł „Doktor Pascal“ i ukaże się zapewne w r. p. Powieść ta będzie jakby epilogiem, wnioskiem z całej epopei, wyprowadzonym przez człowieka zdrowego i normalnego, jakim ma być bohater; wbrew zwyczajowi i zamiłowaniom, Zola porzuci tu wielkie masy, które tak mistrzowsko porusza, i przeprowadzi intrygę bardzo prostą, między niewielu, może trzema tylko osobami. Zakończywszy tym sposobem swój wiekopomny cykl, ma on zamiar, jako coś zupełnie oddzielnego, odmalować w nowej powieści pielgrzymki do Lourdesi cuda, które się tam dzieją, w związku z neo-katolickim ruchem współczesnego młodego pokolenia literatów.

*** Krzysztof Kolumb. Taki tytuł nosi nowa opera maestra Franchettiego, która dnia 1 października b. r. z okazyi czterechsetnego jubileuszu odkrycia Ameryki ujrzy światło kin-

kietów w teatrze Carlo-Felice w Genui. Opera Franchettiego ma trzy odsłony. Pierwszy akt rozgrywa się w Hiszpanii, drugi na oceanie i na wybrzeżach Nowego świata, trzeci kończy się w Hiszpanii śmiercią bohatera Kolumba. Scena, charakteryzująca bunt załogi caravelli Kolumba, wtajemniczonych w szczegóły utworu przejmuje zgrozą.

*** Już ustawiono na froncie nowego teatru w Krakowie grupę alegoryczną dłuta p. Błotnickiego przedstawiającą: geniusza, dramat i komedyę.

*** Zjazd historyków w Monachium odbędzie się w dniach 27, 28 i 29 września przy współudziale uczestników z Niemiec, Austryi i Szwajcaryi. Prezydyum zjazdu rozesłało już komunikat programowy, w myśl którego rozstrzygane będą na zjeździe następujące kwestye: 1) O ile nauka historyi służyć ma jako przygotowanie do zadań, jakie życie publiczne dla każdego wykształconego człowieka przedstawia. 2) Jak wobec tego nauka historyi ma być udzielaną. 3) Jak należy organizować i prowadzić seminarya historyczne na uniwersytetach.

*** W paryskim teatrze Porte-Saint-Martin w dniu 1 września rozpoczyna się przedstawienie sztuki Zoli p. t. „Bête humaine" przerobionej na scenę. Współpracownikiem Zoli w tym razie był p. Wiliam Busnach.

*** Artur Sullivan, znany twórca Mikada, podniósł się już z ciężkiej swojej choroby. Przebywa on obecnie w posiadłości swojej w pobliżu Londynu, zajęty wykończaniem nowej operetki, której przedstawienie naznaczone już zostało na 17 września w teatrze Savoy w Londynie. Libretto wyszło z pod pióra znanego autora, Sidneya Grundy; tytuł jednak jest dotąd tajemnicą.

*** Świeżo wyszła z pod prasy powieść Aleksandra Kiellanda p. t. „Fortuna." Jest to dalszy ciąg powieści „Trucizna" tegoż autora.

*** W wydaniu *Maticy Hrvatskiej*, instytucyi zagrzebskiej, odpowiadającej mniej więcej warszawskiej Kasie im. rektora Mianowskiego, wyszły *Slike iz svjetske književnosti* (Szkice z literatury powszechnej). Tom I zawiera wizerunki najwybitniejszych poetów z pierwszej połowy XIX w., a mianowicie: Lorda Byron'a, Adama Mickiewicza, Aleksandra Puszkina, Jana Kollara, Jakóba Leopardi'ego i Henryka Heine'go, skreślone przez Niliwoja Szrepla, oraz Wiktora Hugona przez Juliusza Adamow'ca. W każdym z tych wizerunków zarys działalności wymienionych poetów jest skreślony w związku z faktami z ich życia i wypadkami współczesnemi, najbliżej ich dotykającemi.

Nekrologia.

† Wacław Rulikowski, członek komisyi historycznej Akademii Umiejętności, znany w świecie uczonym heraldyk, autor dzieła „Kniaziowie i szlachta", b. właściciel dóbr na Ukrainie Paszkówki, zakończył życie 27 lipca b. r. w Zawadówce.

† W Pradze zmarł w 83 roku życia literat słoweński Matja Majer (Ziljski), który podniósł poczucie narodowe u Słoweńców i Kroatów. Popierał on Maticę kroacką. W r. 1863 wydał obszerną gramatykę słowiańską. Następnie redagował przegląd dla spraw słowiańskich p. t. „Sławjan"; w roku 1883 przeniósł się do Pragi, gdzie stale zamieszkał. Wydał też wiele dzieł literackich i zbiór pieśni kościelnych „Cerkwene pesni", jako też pieśni ludowe „Pesni z napevi". W r. 1848 spisał on w Celowcu petycyę Słoweńców, za co go prześladowano i musiał wtedy opuścić Celowiec.

† Leopold Karol Müller, głośny malarz i profesor w akademii sztuk pięknych w Wiedniu, zmarł tamże. Przez protekcyę malarza Karola Blaasa dostał się w roku 1853 do akademji sztuk pięknych w Wiedniu, gdzie uczył się razem z naszym Grottgerem, Skończywszy studya, utrzymywał się czas jakiś z tego, iż rysował ilustracye tamtejszych pism humorystycznych; wreszcie w roku 1870 dostał się do Egiptu i kilkoma obrazami ze Wschodu, wystawionemi w wiedeńskim salonie, zjednał sobie rozgłos,

† Rozalja z Brzozowskich Ładnowska, b. artystka dramatyczna, matka Bolesława oraz pań: Rakiewiczowej i Wolskiej, zmarła w Krakowie.

† Ernest Brandes, brat Jerzego, redaktor pisma „Kjöbenhavns Börstitende", zastrzelił się w Dyrehavenie pod Kopenhagą.

† Emil Jakób Schindler, znakomity artysta-malarz. zmarł w Wiedniu.

† Amadeusz de Bast, płodny literat, beletrysta i historyk francuski, zmarł dnia 7 b. m. w Teriel pod Polssy, mając lat 98.

† Zmarł Józef Detmerski, b. urzędnik archiwum Królestwa Polskiego, autor, prac dotyczących stosunków ekonomicznych w dawniejszych czasach, oraz innej treści, zaczerpniętych ze źródeł archiwalnych,

Treść Numeru:

Nowa ustawa monetarna przez L. T. — Na karcie wspomnień przez Witeliona. — O Słowackim studyum przez dra H. Monata. (Dok.). — Pogrzeby, nowela Z. Niedźwieckiego. (Dok.). — Człowiek-zwierzę przez J. Brandesa. — Nowe prądy filozofji przez dra Garfeina. (Dok.). — Pamiętniki sekundarjusza przez Kronbauera. tłum. W. Szukiewicz. — Z chwili (kronika społeczna). — Listy paryskie III. przez W. Bugiela. (Dok.). — Przyszłość okkultyzmu. — Pokłosie literackie. — Odpowiedzi od redakcyi. — Miscelanea. — Nekrologia. — W odcinku: „Klęska", powieść E. Zoli.

Z drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Bornsztein.